

2552/1977/9

Polacy w Czechosłowacji

Zdzisław Czapliński
str. 4-5

Co przywozłem z Siedlec?

Jerzy Dostatni
str. 4-5

Bosko Vrhovac HUMORESKI

str. 8

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamienia

LUBLIN 1 V 1977 Nr 9 (625)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Chwila u Czechowicza

Zygmunt Mikulski

W 50 ROCZNICĘ debiutu książkowego Józefa Czechowicza, którym było ukazanie się zbioru wierszy „Kamień”, w Muzeum jego imienia w Lublinie odbył się wieczór poświęcony temu wydarzeniu. Dr Tadeusz Kłak wygłosił prelekcję o poecie i sytuacji w poezji jemu współczesnej, a Kazimierz Siedlecki z teatru Osterwy recytował wiersze poetów grupy „Reflektor”. Prelekcji towarzyszyła wystawa wydawnictw futurystycznych, a więc wprowadzenie w klimat epoki mieliśmy znakomite. Dodatkową atrakcją wystawy był jej smaczek retro (niechby to o sobie usłyszeli futuryści), w którym gustować można z samych względów bibliofilskich, niekoniecznie z zainteresowania sprawami literatury.

Słuchając jednak ciekawej prelekcji i udanych recytacji, uczestnicząc w atmosferze jakże potrzebnego wieczoru, doszedłem do dość melancholijnego wniosku. Mianowicie, że poezja Czechowicza w dzisiejszej epoce jest nieczytelna. Oczywiście tym gorzej dla epoki (z tym, że określenie „gorzej-lepiej” rozumieć należy jako zabieg stylistyczny, bo różnica w pojmowaniu poezji jest rzeczywistością i na ten temat dyskusji nie ma), ale niezależnie od kwestii kogo tu „winieć”, poezji „Kamienia” nie można uznać za żyjącą w dzisiejszym czytelnickim odbiorze. Owszem, sam słyszę jak zabrzmiało to drastycznie, rzecz jednak w tym, że pod żadnym adresem. Nie „winien” Czechowicz, że katastroficzny, liryczny, introwertyczny, nie „winna” epoka, że pośpieszna, technicyzyczna, egocentryczna. Na przykład:

patrzę patrzę
smutne i wesołe rzeczy są jednakowo
przystanek tramwajowy wciska w ramiona
głowę

Czy na dzisiejszym przystanku komunikacji miejskiej możliwe jest powstanie takiego nastroju? Głowa wcisnięta w ramiona? W tej sytuacji kandydat na pasażera mógłby czekać do tzw. sądnego dnia. Albo

uliczka za uliczką rzucona sierpem strone
Popatrzmy na dzisiejszą panoramę miasta. W niej „uliczka za uliczką” jeśli strona, idzie na

Dokończenie na str. 12

ŻYCIE W FABRYCE...

Mirosław Derecki



Fot. Bartłomiej Wleczorek

W SZYSTKO zawdzięczam Fabryce. Tutaj spędziłem całe swoje dotychczasowe dorosłe życie, to Fabryka miała wpływ na kształtowanie mojej osobowości i jeżeli dzisiaj patzę na świat tak, a nie inaczej, to wielka w tym zasługa naszego zakładu, w którym od stu trzydziestu lat klasa robotnicza ciągnie swoją tradycję. Raz tylko skusił mnie Świdnik, ale po dwóch miesiącach byłem znowu w Lublinie, na ulicy 1 Maja pod numerem szesnastym, u starego „Wolskiego”.

Już bym nigdy nie mógł odejść więcej ani z Lublina, ani od „Wolskiego”, widocznie jestem zbyt wrośnięty w tę okolicę i w to środowisko; w pobliżu Fabryki Maszyn Rolniczych się urodziłem, w tej dzielnicy chodziłem do szkoły i tutaj z dziada pradziada siedziała cała nasza rodzina Szymanków. Mój ojciec całe życie przepracował na ulicy 1 Maja, najstarszy brat, Józef, który ma już 83 lata, na połowę życia związał się z niedaleką Cukrownią „Lublin”. Zaś dziadek mój, Franciszek Szymanek, był zawodowym strażakiem a także, będąc uzdolniony muzycznie, trąbił pięknie na Bramie Krakowskiej. Za czasów dziadka Franciszka trąbiło się wprawdzie tylko na znak pożaru, ale on umiał nadać alarmanemu sygnałowi takie szczególne brzmienie, że każdemu było zaraz wiadomo, że to Szymanek ma dy-

żur na Bramie. A taki był Lublin spokojny w tych czasach, że w mieszkaniu rodziców na 1 Maja czyli dawnej Foksalnej, pod czterdziestym piątym słychać było wyraźnie głos trąbki. Ja już tego nie pamiętam, znam tę historię tylko z opowiadań, bo byłem najmłodszym z trzynastoorga dzieci i kiedy się urodziłem, dziadek już nie żył. A ojciec mój, też Franciszek, był dozorcą w dużej kamienicy i dopiero pod koniec życia zdobył się na skromny domek przy ulicy Majdanek, tuż przy torze kolejowym biegnącym w kierunku Siedlec i tam przeżyłem swoje młodościowe lata; już w trochę innej okolicy i innym środowisku ale przecież właściwie w tej samej dzielnicy — głos syren z fabryk Moritza i Wolskiego był tutaj tak samo donośny jak gwizd przejeżdżających przed oknami naszego domu pociągów.

Kiedy wybuchła wojna, byłem jeszcze za młody żeby iść do wojska, ale już wkrótce okazałem się dla Niemców dostatecznie dorosły i silny, żeby zostać „capniętym” do junaków. Nikt się mnie nie pytał o zdanie, przyszło pewnego dnia pismo, że Mieczysław Szymanek ma się stawić w wyznaczonym miejscu.

Dokończenie na str. 3

niech się święci 1 MAJA



Po VII Plenum KC PZPR

JAKA powinna być propaganda? Optymistyczna czy pesymistyczna? Propaganda musi być po prostu skuteczna. Wyprzedzenie ataku, wyjście naprzeciw, elastyczność, pamphlet, dowcip, zrozumienie psychiki Polaków to jest narzędzie na co dzień. W takich to słowach scharakteryzował propagandę na VII Plenum KC PZPR Sylwester Kaliski, minister Nauki, Szkolnictwa Wzrostu i Techniki.

VII Plenum KC przedyskutowało projekt rez. KC „O dalsze pogłębianie socjalistycznej świadomości i patriotycznej jedności narodu”. Tezy, wypowiedzi w dyskusji i końcowe przemówienie Edwarda Gierka zawierają wiele cennych myśli. Warto je dokładnie prześledzić i wyciągnąć z nich wnioski, warto wzbogacić własnymi uwagami.

W przeszłości — przypomniał Edward Gierek — patriotyzm Polaków kojarzył się przede wszystkim z walką, z boha-

zwyciężać biurokratyczne zobojebnienie na sprawy ludzkie; wszędzie konsekwentnie walczyć o zgodność postępowania w codziennym życiu z głoszonymi zasadami; zdecydowanie więcej uwagi poświęcić kształtowaniu socjalistycznych stosunków międzyludzkich. Musimy dążyć do tego, aby wszędzie, w każdym środowisku dominowały sprawiedliwość, pryncypialność, wzajemne wysokie wymagania, życzliwość i zaufanie — najlepsze humanistyczne wartości. Dotyczy to zwłaszcza stosunków pomiędzy przełożonymi a podwładnymi.

Ile tu tematów dla środków masowego przekazu, dla instancji partyjnych, dla organizacji społecznych! Józef Buziński, członek KC i I sekretarz KW PZPR w Bielsku-Białej, radził w czasie dyskusji, aby zastanowić się, czy nasze kontakty z ludźmi, którym poświęcamy przecież sporo czasu, nie są zbyt często organizowane na zasadzie

Ten temat w toku dyskusji poruszyli i inni mówcy. Bohdan Roliński, członek CKR PZPR, red. nac. „Życia Warszawy”, wyraził pogląd, że oduczylimy się walki politycznej, co opacznie rozumieli przeciwnicy. Dziś, gdy coraz skuteczniej przeciwstawiamy się poglądom i działaniom antysocjalistycznym, antypolskim, niektórzy, co to się mają za liberalów, a uznają tylko wolność atakowania w jedną stronę — w naszą praktykę budowania społeczeństwa ludzi pracy — podnoszą krzyk i intrygi także za granicą. Kiedy mówimy, że ich postępowanie godzi w interesy narodowe, kiedy odsłaniamy ich prawdziwe oblicze polityczne, oni usiłują podnieść alarm, że to brak wolności i bezprawie, gdyż boją się naszej aktywności w walce o świadomość coraz szerszych kręgów społecznych.

A Eugeniusz Białic, członek KC PZPR, brygadysta w Zakładach Mechanicznych „Zamech” w Elblągu, o-

wśród nas odywające, zwłaszcza w trudnych chwilach, tendencje do stawiania środków masowego przekazu w roli specyficznej siły między partią a społeczeństwem, siły, czy może środka nacisku tylko w jedną stronę: w górę. Prawdą jest, że przyjęliśmy zasadę pozytywnego oddziaływania, dawania dobrego przykładu jako społecznego wzorca postępowania w życiu. Można jednak zagubić się po drodze ostrych spojrzeń na tych, którzy schowali się za sukces, którzy przyłączyli się do osiągnięć i nadstawiają głowy do błogosławieństwa. Obecnie jest partyjna decyzja, która stwarza nową płaszczyznę do działania: uchwała Biura Politycznego „O dalsze doskonalenie działalności informacyjno-publicystycznej oraz umocnienie ideowo-wychowawczej roli krytyki w prasie, radiu i telewizji”.

Zbyt bogaty jest materiał VII Plenum KC, aby można go w niemal telegra-

Socjalistyczna świadomość — patriotyczna jedność

terstwem i bezgraniczną ofiarnością w momentach najbardziej trudnych dla narodu. Uczucia patriotyczne nie zawsze mogły stać się czynnikiem motywującym dobrą, systematyczną pracę, nie wpływały w wystarczającym stopniu na kształtowanie świadomości państwowej. Dziś, gdy lud polski, któremu przewodziła organizowana przez naszą partię klasa robotnicza, wywalczył i zbudował nowoczesne, socjalistyczne państwo, należy stale krzewić w świadomości społecznej elementarne prawdy o gwarancjach pomysłowego rozwoju naszej ojczyzny. Te gwarancje to: sprawiedliwe zasady ustrojowe, program partii, sołusz robotników, chłopów i inteligencji, zjednoczony wysiłek Polaków w pracy dla kraju, niezłomna przyjaźń i współpraca z ZSRR i innymi krajami socjalistycznymi, solidarność ze wszystkimi siłami postępu i pokoju na świecie.

Mówiąc o obecnej sytuacji na froncie ideowo-politycznym i społecznym I sekretarz KC PZPR stwierdził, że dokonaliśmy wiele, ale nie zdaliśmy przewyciężyć wszystkich zjawisk ujemnych. Wciąż jeszcze mamy do czynienia z takimi zjawiskami, jak klikowość, marnotrawstwo mienia państwowego i dorobkiewiczostwo. Nierzadko występuje brak elementarnej dyscypliny zawodowej i obywatelskiej, obojętność na sprawy ogółu, egoizm, nieuczciwość i pijaństwo. Spotyka się też nadal dwulicowość w poglądach i postawach wyrażającą się w głoszeniu czegoś innego na oficjalnie i czegoś innego na prywatnie użytek. Wszystko to powoduje powolne szkody w świadomości społecznej, zwłaszcza w świadomości młodego pokolenia.

Co należy robić? Edward Gierek uwypuklił wiele problemów.

Trzeba przede wszystkim przestrzegać praw i socjalistycznych norm postępowania we wszystkich ogniwach gospodarki, administracji, instytucji oświatowych i kulturalnych; aktywnie prze-

mówiających i słuchających. Za mało mamy spotkań zwyczajnych, a nie odświętnych. Takich spotkań, które zbliżają ludzi, pozwalają im głębiej wzajemnie poznać się, zaufać sobie, zrozumieć motywy działania.

Powracając do wystąpienia I sekretarza KC PZPR, warto zwrócić uwagę na stwierdzenia, które padły w kontekście zadań partii i państwa. Musimy — mówił Edward Gierek — przede wszystkim doskonalić praktykę, surowo tępić wszelkie naruszenia praworządności w stosunkach z obywatelami, a równocześnie umacniać respektowanie prawa w postawach i zachowaniach obywateli. Musimy również skutecznie przewyciężać występującą jeszcze tu i ówdzie skłonność do arbitralnych decyzji i uproszczonego administrowania, jak i przejawy samowoli, anarchii oraz lekceważenia norm współżycia społecznego.

W naszym kraju istnieje autentyczny demokratyzm i swoboda obywatelskie. Opiniom i poglądom niesłusznym przeciwstawiamy się przy pomocy środków politycznych, argumentami i perswazją. Nie możemy jednak godzić się — podkreślił I sekretarz KC PZPR — z naruszeniem prawa, z nadużywaniem demokracji socjalistycznej i swobód obywatelskich do działalności wypływającej z obcych pozycji klasowych i wymierzonych przeciwko naszemu socjalistycznemu państwu, przeciw jedności naszego narodu. Przeciwnicy Polski i socjalizmu nie ustają w wysiłkach, aby wnieść zamęt do świadomości naszego narodu, osłabić jego więź z socjalizmem, jego wolę działania i wiarę w przyszłość. Znajdują oni nielicznych sojuszników wewnątrz naszego kraju, od których oczekują przede wszystkim pomocy dla swych ośrodków dywersyjno-propagandowych. Tej działalności musimy i będziemy się przeciwstawiać wszystkimi niezbędnymi środkami, a przede wszystkim demaskować ją wobec społeczeństwa.

świadczył: Załoga naszego zakładu, robotnicy, członkowie partii i bezpartyjni są żywo zainteresowani tym, by praca nasza przebiegała w dobrej atmosferze. Nigdy nie znajdą poparcia różni poprawiacze ustroju, jak i ci, co sami mianują się przedstawicielami i obrońcami robotników. Są oni w oczach robotników skompromitowani. Nie widzieli oni fabryki ani pracującego robotnika. Jedyne pytanie, jakie stawiają robotnicy i aktywi, których zapoznaliśmy z tymi sprawami, to jak długo będziemy ich jeszcze tolerować?

Jerzy Putrament, członek KC PZPR, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, mówiąc o problemach literackich wskazał, że każde dzieło pisarskie musimy traktować z punktu widzenia politycznego. Wydanie książki w państwie socjalistycznym jest czymś innym niż wydanie książki w państwie kapitalistycznym. Tam jest to sprawa między autorem, a prywatnym wydawcą, a tu jest między państwem a pisarzem. W stosunku do dzieł politycznie uznanych za wrogie żadnym względów na korzyść pisarzy uwzględnić nie należy. Natomiast są wypadki, kiedy pewne dzieło ma utrudnioną drogę nie ze względu na wartość, a ze względu na nazwisko, dlatego, że autor uwikłał się w jakąś akcję. Takich działań trzeba unikać. Ewolucja światopoglądu pisarza odbywa się przez pisanie przez niego książki. Każde następne jego dzieło stanowi jakiś krok ku nam, albo przeciw nam.

Można dyskutować nad takim ujęciem zagadnienia. Faktem jest, że literatura nie działa w politycznej próżni, a w walce ideologicznej nasi przeciwnicy starają się szczególnie oddziaływać na ludzi pióra. Wspomniał o tym i cytowany już Bohdan Roliński, mówiąc o dziennikarzach. Uczymy się coraz skuteczniej realizować zadania, które kierownictwo partii stawia do wykonania. Skutecznie także zwalczyliśmy

fizycznym skrócie zobrazować. Faktem jest, że zadania w sferze świadomości społecznej są coraz większe, że niektórzy spośród nich wymagają nowego ujęcia, wynikającego ze stale zmieniającej się sytuacji we współczesnym świecie. Pokojowe współistnienie wcale nie oznacza osłabiania walki ideologicznej. W przededniu konferencji belgradzkiej wzmożła się na Zachodzie ofensywa sił, które dążą do zakłócenia procesu odprężenia, do osłabienia jedności państw socjalistycznych. Niestety, i w naszym kraju są jednostki, które bardziej czy mniej świadomie angażują się w działania szkodliwe dla Polski.

I tu warto wrócić do tego, od czego zaczęliśmy ten tekst. Wyprzedzenie ataku, wyjście naprzeciw, elastyczność, pamphlet, dowcip, zrozumienie psychiki Polaków — to jest narzędzie na co dzień naszej propagandy. Musimy doskonalić jej formy, musimy wszyscy, a zwłaszcza pracownicy frontu ideologicznego, skutecznie argumentować, celnie pisać, lepiej trafiać do serc i umysłów odbiorców. Jednocześnie rzeczowa, konstruktywna krytyka musi stać się metodą pracy środków masowej informacji i propagandy. Z drugiej strony należy wymagać, by równie rzeczowy stosunek do krytyki cechował tych, których ona dotyczy.

Nie ma dzisiaj — pisał w „Trybunie Ludu” Kazimierz Rokoszewski, kierownik Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR — dla krytyki tematów zastrzeżonych. Chodzi tylko o to, jaki charakter ma podejmowana krytyka, jaki jest jej ostateczny cel. Chcielibyśmy, by skupiała się ona przede wszystkim na odstępstwach od zasad i programów nakreślonych przez partię, na deformacjach, które występują w naszym życiu, a w których przewyciężaniu partia i państwo są istotnie zainteresowane.

(i)

KONKURS „NASZE SPOJRZENIE NA LITERATURĘ POLSKĄ”

ROZSTRZYGNIĘTY

Rozstrzygnięty został konkurs ogłoszony przez Redakcję „Kamena” i Koło Naukowe Polonistów UMCS pod hasłem „Nasze spojrzenie na literaturę polską”. Jury w składzie:

Zygmunt Mikulski — Redakcja „Kamena”,

dr Stefan Nieznanowski — Zakład Literatury Staropolskiej UMCS,

dr Jerzy Święch — Zakład Literatury Współczesnej UMCS,

Bogusław Wróblewski — Koło Naukowe Polonistów UMCS

na posiedzeniu w dn. 18 kwietnia 1977 r. postanowiło przyznać: I. w dziale „Literatura polska do XIX w. włącznie”

— pierwszą nagrodę (1500 zł) Ryszardowi Montusiewiczowi z Lublina za pracę „Harmonia życia i twórczości. O konwersji Kaspra Wilkowskiego”,

— drugą nagrodę (1000 zł) Alinie Lewickiej z Lublina za pracę „Gdy rozmyślam, com jest”;

II. w dziale „Literatura polska XX w.”

— pierwszą nagrodę (1500 zł) Przemysławowi Cieślakowi z Warszawy za pracę „Famięć jest sposobem życia”,

— trzy drugie nagrody (po 1000 zł): Zofii Pasierb z Lublina za pracę „Jak określić „Iwonę”. Aniele Skibie z Gdyni za pracę „W rytmie Biblii”, Zbigniewowi Adamskiemu z Konopnicy (woj. sie-

radzkiej) za pracę „Motyli czas Haliny Poświatowskiej”,

— dwie trzecie nagrody (po 500 zł): Marii Kosiorok z Poznania za pracę „Próba analizy „Myśli nieuczesanych” St. J. Leca”, Arianie Nagórskiej z Sopotu za pracę „Dla dobra ogółu”

oraz wyróżnienie za najlepszą pracę dotyczącą zjawisk literackich lat 70-tych (1000 zł) Jerzemu K. Miścowi z Lublina za pracę „Schemat schizofrenii”.

Nagrody zostaną laureatom przesłane pocztą.

ŻYCIE W FABRYCE...



Fot. Bartłomiej Wieczorek

Dokończenie ze str. 1

nym terminie tu i tu, z kompletem bielizny i zapasem żywności na jeden dzień. W takiej samej sytuacji znalazło się stu innych chłopców z Lublina. Zanim się polapaliśmy o co chodzi, mieliśmy już na sobie granatowe komboinezony, na nogach drewniaki a na głowach berety i jechaliśmy do Kazimierza nad Wisłę, do pracy w kamieniołomach...

Latem 1942 r. nasza kompania junaków została zakwaterowana w stojących w lesie barakach, w Golebiu pod Dęblinem. Pracowaliśmy przy konserwacji i naprawach torów kolejowych. Kierownikiem grupy roboczej był Niemiec nazwiskiem Zelcer a tłumaczem Żyd, który przyjechał z nami z Kazimierza. Nazywał się Bloch, jego żona pracowała u nas jako urzędniczka w warsztacie i dzięki temu, że byli Niemcom potrzebni, dotąd jeszcze nie zostali wysłani do obozu koncentracyjnego. Którejś nocy na teren obozu wjechały trzy furmanki wypełnione ludźmi. To byli partyzanci działający w okolicznych lasach. Nawiązaliśmy z nimi kontakt, stanęła umowa, że w odpowiednim czasie będziemy im jako „fachowcy” pomagali w rozkręcaniu torów i wykołajaniu niemieckich pociągów. „Czekajcie na znak” — powiedzieli na pożegnanie i odjechali. Ale my byliśmy młodzi i czekać nie potrafiliśmy. Zaczęło się od tego, że przez zablokowanie zwrotnicy wykołajaliśmy cysternę z benzyną, a potem nastąpił cały szereg niewielkich, ale uciążliwych dla Niemców, naszych własnych „akcji kolejowych”.

Tak było do października. Fewnego ranka do mojej grupy pracującej na torach podchodzi inspektor Zelcer a obok niego jest dwóch żandarmów. „Szymanek, komm!” — powiada i kiwa na mnie palcem. Od razu wiedziałem, że jest źle. Wchodzimy do szrajbsztuby a tam za biurkiem siedzi Blochowa biała jak papier i mówi do mnie trzy słowa: „Mieciu, sprzedany jesteś!”.

Nigdy się nie dowiedziałem, kto na mnie palcem wskazał, nie znam nazwiska zdrajcy, ale co do siebie, to mogę być dumny, że choć mnie później katowano, nie wydałem nikogo z towarzyszy od „akcji kolejowych”. Na Zamku w Lublinie siedziałem na IV Oddziale w celi nr 19 i było nas w tej celi razem 110 osób. Komendantem celi był Salomon, przedwojenny major WP i on dał mi miejsce na narach, kiedy wróciłem skatowany z gmachu gestapo „Pod Zegarem”.

Na początku roku 1943 odbyła się rozprawa sądowa, w której byłem oskarżony o sabotaż i dywersję, ale ponieważ całe oskarżenie opierało się na fałszywych przesłaniach i dowodach z wykołajonego transportu, ostatecznie skazano mnie tylko na rok ciężkiego więzienia. W maju przewieziono mnie do Białej Podlaskiej, gdzie pracowałem w tartaku, i stamtąd, wykorzystując nieuwagę strażników, udało mi się uciec. Ta ucieczka może dlatego udała się, że była zupełnie spontaniczna, niezaplanowana i wbrew zdrowemu rozsądkowi. Razem ze mną uciekł niejaki Sanecki z Dębina i Szymański — nauczyciel z Warszawy. Szliśmy nocami, trzymając się torów kolejowych w kierunku Dębina, tutaj rozdzieliliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Późną nocą podszedłem w Golebiu pod nasz oboz. Ale w lesie panowała cisza, junacy zniknęli a z baraków pozostały tylko zgłiszczą — spalili je partyzanci. Nie było czego żalować. Zdrzemnąłem się chwilę pod sosną, a o świcie ruszyłem na Lublin. Okolica była znajoma, więc szedłem cały dzień bocznymi drogami. Zaczęło się ściemniać, kiedy dotarłem do mostu kolejowego na Wrotkowie. Taka była cisza i takie czyste powietrze, że mimo ogromnej odległości usłyszałem bicie zegara na Bramie Krakowskiej. Uderzył osiem razy — na godzinę dwudziestą, godzinę „policyjną” i wtedy przyszła mi do głowy śmieszna myśl, że to tak jakby dziadek Franciszek dawał mi ostrzeżenie. Łakami nad Bystrzycą przedostałem się na tyły ulicy 1 Maja, do domu siostry, a potem szwagier, Stanisław Sobieszczanski, kolejarz związany z robotą podziemną, zapiekował się mną i wyrobił lewe papiery. Zakonspirowałem się w prywatnej firmie remontów torów

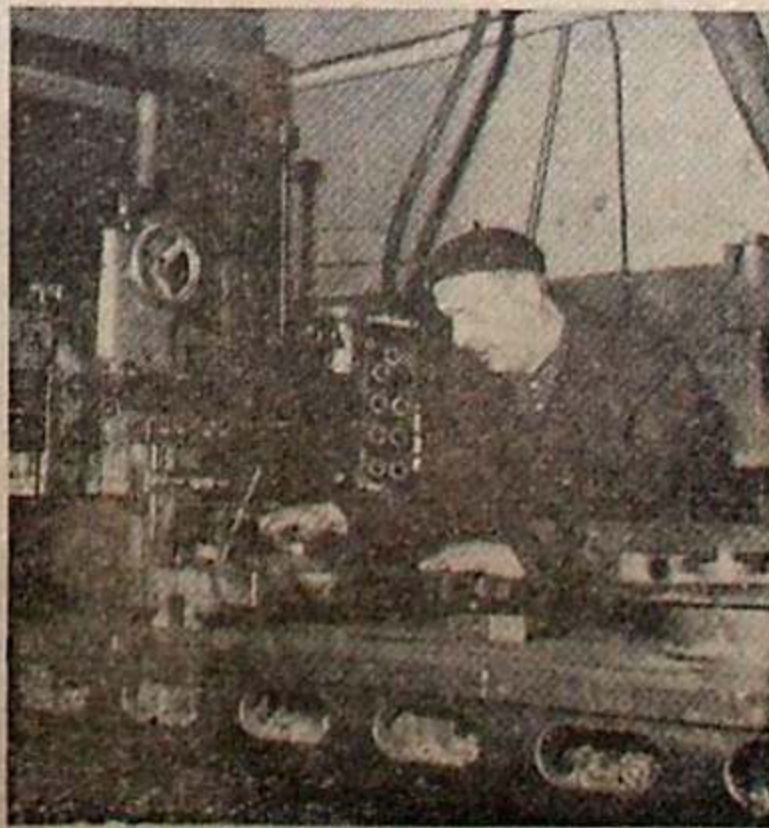
kolejowych — „Muliński i Wróblewski” i miałem szczęście, że nigdy więcej nie wpadłem w łapy Niemcom.

Okres junacki, Zamek a potem ucieczka, to była dla mnie prawdziwa szkoła życia i szkoła patriotyzmu i nauka wiary w człowieka. Bo mi rękę podawano w chwilach największego niebezpieczeństwa, gdy za pomoc szło się na śmierć. Więc kiedy w 1944 r. zgłaszałem się na ochotnika do Ludowego Wojska Polskiego, a potem z 25 Pułkiem Ciężkiej Artylerii Samochodowej szedłem jako fizylier i zwiadowca aż pod Budziszyn, to zdawałem sobie dobrze sprawę dlaczego to robię i za jaką sprawę, dla jakiej przyszłości kraju, dla jakich ludzi tę oto pierś na kule wystawiam.

Kiedy chowaliśmy na cmentarzu w Bolesławcu naszego pułkownika Fizyna, iży nam, żołnierzom, do oczu napływały łzy i myśleliśmy wtedy, czy by nie osiedlić się tutaj po wojnie w jakiejś wsi okolicznej, w pobliżu dowódcy, który nam ojcem był... Ale kiedy przyszedł koniec wojny i demobilizacja, ja ciągle nie mogłem zapomnieć Lublina, chociaż raj mnie tam przecież nie czekał, bo rodzina była w rozsypce i mimo dwudziestu czterech lat życia żadnego konkretnego zawodu się jeszcze nie wyuczyłem.

Kiedy w 1947 r. przyjechałem do Lublina, ojciec powiedział: „Idź do fabryki, teraz przed przemysłem jest wielka przyszłość, w fabrykach rządzą robotnicy i to jest wielka okazja żebyś Polskę nową budował i żebyś przy tym wyszedł na ludzi”. Więc poszedłem do dawnej fabryki Moritza, od stu lat mieszczącej się „na klinie”, u zbiegu obecnych ulic: Buczka i Armii Czerwonej, gdzie wytwarzano kieraty, sieczkarnie, plugi, brony i młocarnie, te narzędzia, które potrzebne były tak bardzo dla uprawy ziemi, po której przetoczyły się działania wojenne. Poszedłem do „Moritza”, bo to była fabryka leżąca w mojej rodzinnej okolicy i także dlatego, że tam właśnie potrzebowano rąk do pracy. I ja właśnie miałem dwie ręce.

Zacząłem pracować „na placu”, w transporcie. Do tego nie potrzeba wielkich umiejętności. Nie wiem, jak by się potoczyło dalsze życie, gdyby nie upatrzył mnie sobie jeden stary majster, od czasów przedwojennych zrosnięty z zakładem, który zaproponował mi wstąpienie na kurs przyuczający do zawodu tokarza. Po ukończeniu takiego kursu nie posiadało się jeszcze pełnych kwalifikacji, ale przechodziło się „na produkcję” i wtedy można było kontynuować naukę i zdobyć zawód. I tak też się stało w moim wypadku. Jeżeli dzisiaj mogę się pochwalić kilkunastoma nagrodami i dyplomami przodownika pracy, „Pstrowskim” — Odznaką Przodownika Pracy Socjalistycznej i Złotym Krzyżem Zasługi, to zawdzięczam to także tamtemu



Fot. Bartłomiej Wieczorek

staremu majstrowi, który skierował mój robotniczy życiorys na właściwy tor.

Moja młodość i pełnia wieku męskiego upłynęły w Fabryce, w LFMR powstałej z połączenia „Moritza” i „Wolskiego”, w „Agromecie” — jak brzmi jej dzisiejsza nazwa. To nie jest przesada, bo istotnie, przez wiele, bardzo wiele powojennych lat, moje pokolenie nie rozstawało się z zakładem pracy po zakończeniu zmiany. W Fabryce toczyło się życie towarzyskie — świetlica była zawsze pełna, bo tu przychodziliśmy z naszymi dziewczynami a potem z zonami na potańcówki i wspólnie organizowane wielkie zaowawy taneczne, tutaj oglądaliśmy nasze zespoły artystyczne i śpiewaliśmy koncerty naszej zakładowej orkiestry. Kwitło też życie sportowe i mieliśmy „na Pionie”, w odrębnie dawnej fabryki Moritza, własne boisko — sam byłem współorganizatorem Zrzeszenia Sportowego „Stal”, które zakładał w Lubelszczyźnie w 1954 r. W tym czasie wiele miejsca poświęcałmy turystyce — zdobyłem wtedy uprawnienia organizatora turystyki i instruktora pływania. Przez wiele lat, po ukończeniu specjalnego kursu, działałem jako społeczny zakładowy inspektor pracy, uczestniczyłem też w działalności naszej zakładowej placówki ORMO.

Dzisiaj młodzież interesuje się życiem kulturalnym czy sportowym raczej „na zewnątrz” fabryki i nie wiem, czy to jest zgodne z duchem czasu, czy też może nie mamy do tych młodych ludzi odpowiedniego „klucza”. Pamiętam, był u nas taki młody człowiek, jeszcze z „zetempowskich” czasów, nazywał się Abramek, pracował ze mną „na produkcji” a wieczorami przekształcał się w doskonałego organizatora pracy społecznej i kulturalnej... Może takich właśnie ludzi nam dzisiaj czasem brakuje?

W Fabryce ukształtowały się także ostatecznie moje przekonania ideologiczne. To był nie tylko wptyw historycznych tradycji proletariackich cechujących zawsze załogę „Moritza” i „Wolskiego”, gdzie żywe są wspomnienia komórek PPS i SDKPiL, KPP i Gwardii Ludowej, ale przede wszystkim sprawa atmosfery zaangażowania w problemy klasy robotniczej i problemy narodu charakterystyczne dla tutejszego środowiska. W 1956 r. wstąpiłem do partii, a od 1960 r. pełnię funkcję skarbnika w Zakładowej Organizacji Partyjnej.

Kiedy rozglądam się wokół siebie lub patrzę w czas miniony — a im bliżej emerytury, tym częściej nachodzą człowieka skłonności do analizowania i bilansowania życia — to utwierdzam się w przekonaniu, że pokierowałem swoim życiem właściwie. Tkwiąc jak cała rodzina — w środowisku, w którym wyrosłem, robotnikiem jest mój starszy syn Wojciech — jestem dumny, że ma Odznakę Janka Krasickiego za dobrą pracę — robotnikami są synowie moich starszych braci i siostr. Syn najstarszego brata Józefa, pracuje nawet w tym samym zakładzie, co ja... „To by też mogło dla kogoś wygądać na rodzaj stagnacji, brak „ambicji życiowych”, ta chęć do zachowania rodzinnej tradycji w niezmiennym kształcie. Ale to błędne spojrzenie... Kiedy spoglądam na nasz zakład, na jego starą architekturę, to uswiadamiam sobie zarazem, że jest to przecież nowoczesna, wyspecjalizowana fabryka maszyn rolniczych, której wyroby z czasów mojej nie tak dawnej młodości — te kieraty, sieczkarnie, lemieszki, młocarnie, można by już umieścić jako „archeologiczne eksponaty” w organizowanej właśnie Izbie Pamięci. Więc to nieprawda, że pozostajemy w miejscu. My ciągle idziemy naprzód razem z Fabryką i, tak jak ona, stale się zmieniamy. I w przyszłości objawi się to jeszcze bardziej wyraźnie: gdy ostatecznie zostanie zakończona budowa nowoczesnych zakładów na Wrotkowie, kiedy opustoszeją stare hale na 1 Maja „pod szesnastym” i „na klinie”, a parowe syreny „U Moritza” i „U Wolskiego” zamilkną na zawsze...

Mirosław Derecki

Kamena str. 3

NIE znalazłem w Siedlcach jasnovidza. Ale jest tam taki na pewno i w dodatku ukrywa się w jakimś ważnym gabinecie. Oto bowiem w roku 1971 przy opracowywaniu planu zagospodarowania przetrzennego miasta ów jasnovidz zdecydował, że ma powstać wielka dzielnica przemysłowa, zaprojektowana z takim rozmachem, iż Innym oczy zbieleją. Jasnovidz przewidywał zapewne, że kilka lat później reforma administracyjna kraju przywróci Siedlcom dawną rangę. Za czasów Księstwa Warszawskiego miasto było przecież stolicą departamentu podlaskiego, w Królestwie Polskim — najpierw województwa, a następnie guberni. Od 1912 roku zostały tylko wspomnienia.

Na sprawę można także spojrzeć bardziej realnie. Według spisu ludności, w roku 1931 Siedlice miały 37 tys. mieszkańców, w roku 1950 zaledwie 25 tys. W ciągu 25 kolejnych lat po ostatniej wojnie miasto traciło przynajmniej tysiąc młodych ludzi, którym w dodatku dądo średnie wykształcenie ogólne lub zawodowe, a którzy pracy musieli szukać poza miejscem urodzenia. Dzielnica przemysłowa miała ten odpyły zahamować. I zahamowała na tyle skutecznie, że dzisiaj liczba mieszkańców zbliża się do 50 tys. W dzielnicy przemysłowej pracuje już prawie 15 tys. ludzi, przy czym warunki pracy w nowych obiektach są na ogół doskonałe.

Tak szybki rozwój przemysłu spowodował jednak powstanie nowych kłopotów, których nie da się rozwiązać ani dziś, ani jutro, ale w ogóle rozwiązać je trzeba. Chodzi naturalnie o mieszkania. Położone na peryferiach dawnego województwa warszawskiego, prawie pozbawione własnego wykonawstwa, Siedlice wraz z całym ich dzisiejszym województwem nie były rozpiszczane inwestycjami mieszkaniowymi. Wystarczy powiedzieć, że jeszcze do roku 1974 liczba oddawanych do użytku mieszkań na tysiąc

Co przywiozłem

mieszkańców była o 25—30 proc. niższa od przeciętnej krajowej, a o prawie 40 proc. niższa od tego, co otrzymały miasta i wsie dzisiejszego województwa lubelskiego.

Do niedawna nie było na dodatek jasnej koncepcji zabudowy miasta. Na małych, chociaż w zasadzie uzbrojonych terenach powstawały mini-osiedla spółdzielcze, z których największe posiada 10 bloków, najmniejsze — im Jana Kiepury — 4 bloki. Przygotowywane właśnie do realizacji osiedle „Blonie” też będzie miało tylko 7 bloków i dopiero „Warszawska” stanie się pierwszym dużym, zasługującym na to miano osiedlem — zamieszka tam 16 tys. ludzi. Na marginesie warto dodać, że powstanie ono wkrótce na terenach nazywanych od lat Rogatkami Warszawskimi. Ostatnio ktoś wymyślił niegramatyczną nazwę „Osiedle Warszawska” mieszając rodzaj nijaki z żeńskim — i tak utrwała się ten dziwoląg na coraz to nowych dokumentach.

Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa także powstawała prawie z niczego, a sytuacja tak się układała, że niemal od pierwszej chwili musiała przejąć nie tylko działalność inwestycyjną w całym województwie, ale także eksploatacyjną we wszystkich istniejących spółdzielniach. Jednak i tu znaleźli się ludzie zarówno energiczni i ofiarni, jak również posiadający potrzebne kwalifikacje.

No i z miejsca narzucono ostre tempo. W poprzedniej pięcioletce na terenie dzisiejszego województwa siedleckiego oddano do użytku 3900 mieszkań spółdzielczych o powierzchni 167 tys. metrów kwadratowych, plan bieżącej przewiduje 6196 mieszkań o powierzchni 310 tys. metrów kwadratowych. Bardziej wnikliwy czytelnik obliczy łatwo, że w metrach kwadratowych wzrost wynosi 85 procent, natomiast w liczbie mieszkań „tylko” 60 proc. Jednak rozszyfrować to łatwo: po prostu mieszkania są większe przeciętnie o 7 metrów kwadratowych. Wynika to nie tylko z tego, że zamiast dawnej technologii wielkoblukowej stosuje się coraz szerzej wielkopłytową w oparciu o miejscową fabrykę domów — zbudowaną zresztą w okresie o 8 miesięcy krótszym od cyklu normatywnego, co swego czasu stanowiło rekord krajowy. Rzecz w tym, że przyrost naturalny w Siedlcach jest wyjątkowo wysoki: o 50 proc. wyższy od przeciętnej krajowej w miastach (licząc na tysiąc ludności), natomiast na wsi — o dziwo — o 15 proc. niższy od takiej przeciętnej krajowej. Stąd przydzielane młodym małżeństwom M-3 niezwykle szybko stają się bardzo ciasne. Dodajmy więc jeszcze, że prawie połowę budowanych mieszkań otrzymywali i otrzymują mieszkańcy stolicy województwa.

Pierwszy rok bieżącej pięcioletki nie został jednak wykonany — za-

brakło 105 mieszkań, czyli prawie 10 proc. W Garwolinie (30 mieszkań) powodem było to, że miejscowe przedsiębiorstwo ogólnobudowlane przekształcono na specjalistyczne (trobót inżynierskich), w Hucie Czechy firma Pollena mimo obietnic nie rozbudowała na czas kotłowni, a w gminie Krzywda Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego z Międzyrzecza Podlaskiego nie było specjalnie zainteresowane obiektem, leżącym dziś poza jego rodzimym województwem. Wszystko jednak wskazuje na to, że braki te zostaną w pełni nadrobione w bieżącym roku. Chyba nawet z nadwyżką. Bo spółdzielcy potrafiłi dogadać się z różnymi wykonawcami spoza resortu budownictwa, ofiarując im po połowie zbudowanych poza planem mieszkań. Kto nie pójdzie na taki interes, korzystny dla obu stron?

Podczas pobytu w Siedlcach dłuższy czas rozmawiałem z mgr. inż. Jerzym Krzyżaniakiem, naczelnikiem Wydziału Inwestycyjnego Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, jednym z tych, którzy zakres swego działania i myślenia przenoszą poza granice nakreślone oficjalnymi obowiązkami. A oto wnioski, do jakich wspólnie doszliśmy.

Stosowany coraz powszechniej w budownictwie system konstrukcyjno-montażowy W-70 nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Miał to być system otwarty, to znaczy taki, któ-

POLACY W CZECHOSŁOWACJI

Zdzisław Czaplinski

POLSKA grupa narodowościowa stanowi 0,7 proc. ogółu mieszkańców Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej, co w liczbach absolutnych według danych statystycznych gospodarzy oznacza 65 tysięcy osób. Obywatele czechosłowaccy narodowości polskiej najliczniej zamieszkują w województwie północnomorawskim, szczególnie w powiatach: Karwina i Frydek—Mystek.

Od 30 lat działa tutaj Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, który w swych szeregach w kilkudziesięciu kołach zrzesza około 25 tysięcy członków. Jest to organizacja niezwykle aktywna, a jej działalność na polu upowszechniania kultury i sztuki polskiej jest wysoko oceniana przez kierownictwo Frontu Narodowego CSRS, którego jest członkiem, jak też kierownictwo Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Dał temu wyraz w referacie sprawozdawczym KC KPCz na XV Zjeździe I sekretarz, prezydent CSRS, Gustav Husak.

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, który formalnie powstał w maju 1947 roku, już od jesieni ubiegłego roku przystąpił do obchodów jubileuszowych, które zakończą się w grudniu br. w Karwinie. Dorobek 30-lecia działalności PZKO jest pod każdym względem godny uznania i upowszechnienia.

Trzeba bowiem wiedzieć, że przejął on rewolucyjnie i postępowe tradycje polskiej mniejszości narodowej na czeskim Śląsku Cieszyńskim i aktywnie włączył się w procesy powojennych socjalistycznych przeobrażeń w bratniej Czechosłowacji. Pod patronatem PZKO działa ponad 60 chórów, 16 zespołów muzycznych, 35 teatralnych i 26 tanecznych. PZKO dysponuje siecią własnych domów kultury, sprawuje opiekę nad 54 szkołami podstawowymi z polskim językiem wykładowym, do których uczęszcza 4 700 dzieci. W Cieszynie od ponad 25 lat działa Scena Polska, w Ostrawie wydawany jest

„Głos Ludu” w nakładzie 12 tysięcy, miesięcznik PZKO „Zwrot” i cały szereg innych mniejszych pism w języku polskim. Prowadzona jest także sprzedaż książek i czasopism, wydawanych w PRL, organizuje się projekcje polskich filmów, biblioteki zasobne są w literaturę w języku polskim.

Przedstawiciele czechosłowaccy narodowości polskiej są reprezentowani w organach przedstawicielskich Czeskiej Republiki Socjalistycznej — Czeskiej Radzie Narodowej i terenowych radach narodowych. Członkowie PZKO są także aktywnymi działaczami Komunistycznej Partii Czechosłowacji i Frontu Narodowego CSRS oraz Rewolucyjnego Ruchu Związkowego. Za swoją aktywną działalność Polski Związek Kulturalno-Oświatowy został odznaczony najwyższym czechosłowackim odznaczeniem państwowym — Orderem Sztandaru Pracy.

A przecież początki tej powszechnie dzisiaj szanowanej i cenionej organizacji nie były bynajmniej łatwe i proste. Na postawie polskiej mniejszości narodowościowej w Czechosłowacji musiały siłą faktu w pierwszych powojennych latach ciążyć: kulturowany przez siły reakcyjne polski separatyzm, smutne wspomnienia 1938 roku, różnicowanie polityczne różnych organizacji polonijnych, działających w okresie przedwojennym. Nie bez kozery pozostawał także fakt, iż w Czechosłowacji do lutego 1948 roku nie była jeszcze do końca rozstrzygnięta sprawa: kto kogo? Kto będzie rządził: burżuazja czy klasa robotnicza.

W tej sytuacji do kwestii polskiej mniejszości narodowościowej w sposób pryncypialny i zgodnie z lenińskimi zasadami polityki narodowościowej podeszli komuniści czechosłowaccy i współdziałający z nimi komuniści polscy oraz postępowi działacze polskiego pochodzenia. Klement Gottwald, ówczesny przywódca KPCz i premier rządu, już w 1945 roku zajął jasne stanowisko, stwierdzając, że „ustrój socjalistyczny i ludowy naszej republiki gwarantuje polskiej mniejszości takie same prawa, jakie ma lud czeski i słowacki”.

Polityka komunistów zmierzała konsekwentnie w kierunku zbliżenia czechosłowacko-polskiego. 10 listopada 1946 roku ówczesny wiceminister spraw zagranicznych, dr Clementis, powiedział w wywiadzie dla agencji Reutersa, „iż stosunki między Czechosłowacją i Polską bardzo się poprawiły” i wyraził przekonanie, że „ten stan rzeczy znajdzie swój wyraz w traktacie sojuszniczym”.

10 marca 1947 roku podpisano w Warszawie Układ o Przyjaźni i Współpracy oraz Pomocy Wzajemnej między Republiką Czechosłowacką i Rzeczpospolitą Polską. Składając podpis pod tym historycznym dokumentem, Klement Gottwald powiedział między innymi:

Historia naszych narodów i narodów słowiańskich w opole uczy nas, że ilekroć szły one razem ramię w ramię — były silne i rozkwitały, a przeciwnie — ilekroć nie były zjednoczone, rozpoczynał się upadek ich rozwoju i oba narody stawały się w końcu ofiarą wspólnego wroga, którym był od dawna przede wszystkim imperializm niemiecki... Mogę powiedzieć, że tak jak nasz układ sojuszniczy, tak i jego logiczne następstwa — nasze umowy gospodarcze i kulturalne — otwierają nowy rozdział w historii stosunków między naszymi państwami...

Przy podpisaniu Układu doszło do powołania dwóch organizacji: PZKO i Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej w powiatach: karwińskim i czechocieszyńskim. W czerwcu 1947 roku działało już 78 miejscowych kół PZKO z 7296 członkami, 80 zespołami śpiewaczymi, 19 teatralnymi i 7 tanecznymi. Od początku swego istnienia PZKO był ideowo związany z linią polityczną Komunistycznej Partii Czechosłowacji.

Dowodem tego jest znamienity telegram, jaki kierownictwo PZKO wysłało w lutym 1948 roku na ręce Klementa Gottwalda: *W przełomowym momencie przekazujemy Wam w imieniu całej ludności polskiej wyraz głębokiego zautania! Stoimy całkowicie za rządem Klementa Gottwalda!*

PZKO przychodzi na swój jubileusz 30-lecia z niezwykle bogatym dorobkiem, szczególnie na polu upowszechniania kultury i sztuki. Wielka w tym

z Siedlec?

Jerzy Dostatni

ry dzięki bardzo różnym elementom pretabrykowanym miał umożliwić stawianie budynków o bardzo urozmaiconej architekturze. Chodziło o to, aby nie zabudowywać kraju zuniformalizowanymi blokami, aby osiedla nie były monotonne, aby jedno nie przypominało żywcem drugiego.

W praktyce okazało się jednak, że system W-70 i inne jemu podobne są otwarte tylko na etapie projektowania i to jedynie wtedy, jeżeli projektant nie kontaktuje się z fabryką domów. Albowiem fabryki te są mało elastyczne, mówiąc jasnie — świadomie ograniczają ilość produkowanych elementów. Można z nich zmontować blok mieszkalny, ale różnice pomiędzy jednym a drugim będą minimalne. Wynika to zarówno z przyjętego w nich systemu premiowania (od tonażu), jak i wygodnictwa. Takiego ograniczenia liczby elementów domagają się również przedsiębiorstwa wykonawcze, bo montaż jednakowych bloków wymaga mniej wysiłku, prostszej organizacji pracy. A ponieważ u nas w budownictwie wciąż istnieje rynek producenta i wykonawcy, mający zaś pieniądze inwestor jest tylko posłusznym klientem — co bardziej śmiało zaprojektowana dokumentacja przed rozpoczęciem realizacji musi być przerobiona dokładnie tak, jak sobie życzy wykonawca. Jeżeli inwestor uprze się przy

swaim — po prostu nikt mu obiektu nie zbuduje!

Wydało się nam, że przy dobrej woli obu stron można ten problem przynajmniej częściowo rozwiązać. W pierwszym etapie przez cykliczną zmianę — powiedzmy co tydzień mieszkań — części elementów, co pozwoli na nadawanie budynkom innego kształtu architektonicznego. Zmiana form w fabryce domów, częściowa zresztą, co tydzień mieszkań, nie będzie kłopotliwa, a przez lepszą organizację pracy można nawet zlikwidować ewentualne dodatkowe koszty. Tylko jakie znaleźć lekarstwo na wygodnictwo producentów?

W drugim etapie widziało się nam przemienne stosowanie technologii wielkopłytowej, wielkoblukowej i monolitycznej. Najpierw osobno w każdym z sąsiednich budynków, a potem w poszczególnych jego fragmentach. Nie ulega wątpliwości, że budowlani pomysły te nazwą niemal świętokradztwem, bo im także jest wygodniej montować wciąż to samo. Warto sobie jednak uprzytomnić, że dzisiaj mamy pretensje, i to bardzo słuszne, do wielu projektów realizowanych przed 15 czy nawet 10 laty — że betonowe pustynie, że domy jak pudełka od zapalek, że nie sposób zmienić układu i wielkości mieszkań itd. Dzisiaj, niestety, też robimy bardzo wiele, aby za lat 10—15 na-

sze dorastające dzieci miały do nas podobne pretensje. I cóż z tego, że potem będziemy się bić w piersi, jeżeli już niczego zmienić się nie da?!

Rozmawialiśmy także na jakże aktualny temat domków jednorodzinnych. Wielu ludzi chce je mieć, ale stać na to stosunkowo niewiele. Bo mimo różnych reklamarskich projektów rzeczywistość jest taka, iż wybudowanie jednorodzinnej domku własnościowego kosztuje około miliona złotych. Można otrzymać kredyt, pomoc z własnego zakładu pracy, dołożyć pomoc swoją i rodziny, ale i tak trzeba ostatecznie wyłożyć gotówką co najmniej 800 tys. zł. Myślę, że warto skorzystać z doświadczenia Siedlec.

Otóż powstaje tam już osiedle domków szeregowych. Z działki o powierzchni 300 metrów kwadratowych na ogródek pozostaje prawie 200, co chyba jest wystarczające dla tych, którzy nie chcą zamienić się w ogrodników czy sadowników, a tylko posadzić kilka drzew i krzewów owocowych do własnego użytku, zasiać kwiaty i mieć własne świeże powietrze.

To budownictwo szeregowe potraktowano identycznie jak budownictwo wielkoblukowe, dzięki czemu wpłata początkowa wynosi tylko 150 tys. zł. Reszta, tj. około 750 tys. zł., rozkładana jest na raty, splacane w ciągu 30 lat. Lokator

otrzymuje własnościowe prawo zamieszkania, a jeżeli chce mieszkanie zaraz spłaci, otrzymuje 40 proc. rabatu. Jeżeli wzięć pod uwagę, że można włożyć własną pracę w sam budynek, a potem społecznie pracować przy budowie dróg i chodników wewnątrzosiedlowych, ostateczny koszt ukształtuje się na wysokości około 750 tys. zł., przy kupnie zaś z owym rabatem tylko 450—500 tys. zł. A więc o połowę taniej i to bez kłopotów z szukaniem materiałów i wykonawcy. A trzeba dodać, że w Siedlech są to domki z pełnym wyposażeniem, łącznie z gazem i centralnym ogrzewaniem.

Pisałem na początku o pięknie zrealizowanym projekcie budowy dzielnicy przemysłowej. Nieco później opracowano drugi projekt, który również miał zmienić radykalnie wygląd i jakość miasta. Ogłoszono ogólnopolski konkurs na projekt przebudowy centrum Siedlec. Jednym z warunków było pozostawienie obiektów zabytkowych. Wybrano projekt najlepszy, już niemal wszystko uzgodniono, gdy nagle okazało się, że projektu realizować nie można. Otóż poprzedni konserwator wojewódzki, jeszcze ten z Warszawy, miał swoją listę zabytków, natomiast nowy, już siedlecki, ową listę pokaźnie wydłużył, zresztą o obiekty niższych kategorii.

Zdania na ten temat są bardzo podzielone, zarówno wśród mieszkańców jak i przedstawicieli władz. Większość twierdzi, że do zabytków zaliczono zbyt wiele obiektów o wątpliwej wartości architektonicznej, że są to rudery, które należy rozebrać aby zrobić miejsce dla nowoczesnych, godnych miasta wojewódzkiego budynków. Ale nie brakuje i obrońców konserwatora twierdzących, że nawet brzydki obiekt jest dokumentem przeszłości, o której zapomnieć nie można.

Kto ma rację — trudno rozstrzygnąć. W każdym razie projekt przebudowy centrum jak na razie utknął na martwym punkcie.

zasługa Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, która w ubiegłym roku obchodziła 30-lecie swojej pozytywnej działalności. W ciągu tych lat Scena Polska wystawiła 170 utworów scenicznych, dając w sumie 5294 przedstawienia, które obejrzało ponad półtora miliona widzów. Największym powodzeniem cieszyły się: „Buki podhalanskie” St. Kralika, „Ożenek” M. W. Gogoła, „Paweł Krieczet” A. K. Korniejczuka, „Słuby panienskie”, A. Fredry, „Latarnia” A. Jiraska, „Wodewil warszawski” Z. Gozdawy i W. Stępnia, „Krakowiaczy i górale” W. Bogusławskiego, „Na szkle malowane” K. Gaertner i E. Brylla.

Scena Polska zawsze pozostawała w centrum życia kulturalnego regionu. Jako placówka objazdowa, stykająca się z bardzo różnorodnymi kręgami publiczności, wystawiała sztuki o wysokich wartościach ideowych, artystycznych i wychowawczych. Dobór repertuaru wynikał ze specyfiki i roli Sceny Polskiej, jako jedynej polskiego teatru zawodowego w CSRS. Polityka repertuarowa przebiegała między wymaganiami reżyserów i aktorów, a postulatami odbiorców. Tak więc ta placówka kulturalna zapoznawała swoich odbiorców z klasykami dramaturgii polskiej, z literaturą dramaturgiczną czeską, słowacką, rosyjską, radziecką oraz dziełami dramaturgii światowej. Wystawiała także sztuki sceniczne najznakomitszych dramaturgów krajów socjalistycznych oraz utwory współczesnych, młodych debiutujących pisarzy.

Scenie Polskiej z dużą pomocą przyszedł rodzinny kraj. Większość dawnych amatorów ukończyła wyższe studia teatralne w Polsce i wróciła tu już z dyplomami. Wśród nich m. in.: Witold Rybicki, Kazimierz Siedlaczek, Władysław Libarda, Rudolf Moliński, Halina Branna. Na Scenie Polskiej występowali lub reżyserowali tacy ludzie polskiego teatru jak: Kazimierz Fabisiak, Józef Wyszomirski, Henryk Boukołowski, Jerzy Ukleja, Stanisław Daczyński, Jerzy Kaliszewski i Stanisława Domańska.

A przecież nie tylko Scena Polska znajduje się w sferze inspiracji i wpływów działalności Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Na działalność kulturalno-oświatową Związku składają się każdego roku dziesiątki wysoko ocenianych imprez. Oto już po raz trzynasty w karwińskim Domu Kultury odbył się Festiwal Piosenki Polskiej, zorganizowany wspólnie przez PZKO i Rozgłośnie Ostrawską Radia Czechosłowackiego. Oto Sekcja Folklorystyczna przy ZG PZKO organizuje w Lutyni Dolnej tradycyjne Dni Folkloru. PZKO sprawuje patronat nad działającym już od 50 lat Związkiem Polskich Chórów Śpiewających w Czechosłowacji, który każdego roku organizuje galowe koncerty. Miejsce nie pozwala na odnotowanie dziesiątków innych kulturalnych akcji i imprez.

Warto jednak wspomnieć jeszcze o działalności licznych klubów, domów kultury i świetlic PZKO,

Świadczy to dobitnie o tym, iż władze czechosłowackie nie szcędzą środków, aby zapewnić polskiej mniejszości narodowościowej odpowiednią bazę materialno-techniczną dla rozwijania aktywnej działalności społeczno-politycznej i kulturalno-oświatowej.

Od dziesięciu lat działa klub PZKO w Trzyńcu — Kanadzie. Przy klubie liczne sekcje: teatralna, młodych, kobiet, krajoznawcza. Organizuje się tu często koncerty, wygłasza pogadanki i odczyty. W grudniu ubiegłego roku otwarto w Karwinie nowoczesny Dom Kultury PZKO, który już obecnie rozwija bardzo ożywioną działalność. W październiku ub. r. oddano również do użytku, wybudowany własnymi siłami przy wydatnej pomocy władz, Dom Kultury PZKO w Piotrowicach.

Takich domów kultury, klubów i świetlic, będących własnością PZKO, są już w województwie północnomorawskim dziesiątki.

Obchody jubileuszowe PZKO rozpoczęły się w zasadzie jesienią ubiegłego roku i zainaugurowane zostały walnymi zebraniem kół miejscowych Związku. We wszystkich organizacjach odbyły się imprezy i uroczystości z okazji 30-lecia podpisania Układu o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy między PRL i CSRS.

Drugi okres działalności w jubileuszowym roku, trwający od kwietnia do maja, będzie przebiegał pod hasłem uczczenia ofiar faszyzmu. Z tej okazji odbędzie się m. in. II Samochoodowy Rajd Szlakiem Ofiar Faszyzmu, zaś punktem kulminacyjnym stanie się jubileuszowy Festiwal PZKO w Karwinie. Trzeci okres — od czerwca do końca bieżącego roku — zostanie poświęcony organizowaniu imprez towarzyszących obchodom 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. W grudniu odbędzie się plenarne posiedzenie Zarządu Głównego PZKO.

Naczelnym hasłem obchodów jubileuszowych 30-lecia PZKO jest patriotyczne zawołanie: *Nasze serca i czyny dla realizacji XV Zjazdu KPCz oraz dla rozkwitu całej republiki*. Nie są to słowa bez pokrycia. Na spotkaniu delegacji ZG PZKO z Egzekutywą Komitetu Wojewódzkiego KPCz w Ostrawie na ręce jej I sekretarza, członka KC KPCz Mirosława Mamuli, złożono następujące zobowiązanie z okazji 30-lecia PZKO i 60 rocznicy WSRP:

Członkowie kół miejscowych PZKO zobowiązują się przepracować w czynie społecznym 159 911 roboczogodzin, z tego 36 tysięcy w ramach akcji „Z”, 19 tysięcy godzin przy pracach polowych w rolnictwie i około 50 tysięcy godzin przy budowie świetlic i domów kultury PZKO. Zobowiązanie przewiduje ponadto pozyskanie około 500 nowych członków Związku i zawiera szeroki wachlarz konkretnych przedsięwzięć w dziedzinie pracy kulturalnej, oświatowej i propagandowej.

Gustaw Sajdok

* * *
Dziękuję za ręce
które jak dwie kromki chleba
sycą głodnego
które ożywiają granit
uśmiechem
które wyjmiesz z kieszeni
witając przechodnia
Dziękuję za ręce
spękane
jak żarem spalona ziemia
Dziękuję za ręce
które jak lupiny orzecha
osłaniają
malutkie szczęście
prostego człowieka

* * *
Zbyt ciasno
robi się na świecie
Wszystko
chce być wszystkim
Zmęczony siadam w fotelu
palę papierosy
piję kawę
przed snem filiżankę mleka
Oczyszczony napojem osesków
wierzę
że jeszcze pożyję
chociaż
coraz ciśnieją
robi się na świecie

* * *
Pawien krytyk
wsadził mnie w szkatułkę
a ja nieposłuszny
jak martwy i trumny
rozkładam bezradne ręce
i przestaję prosić
o dobrą recenzję

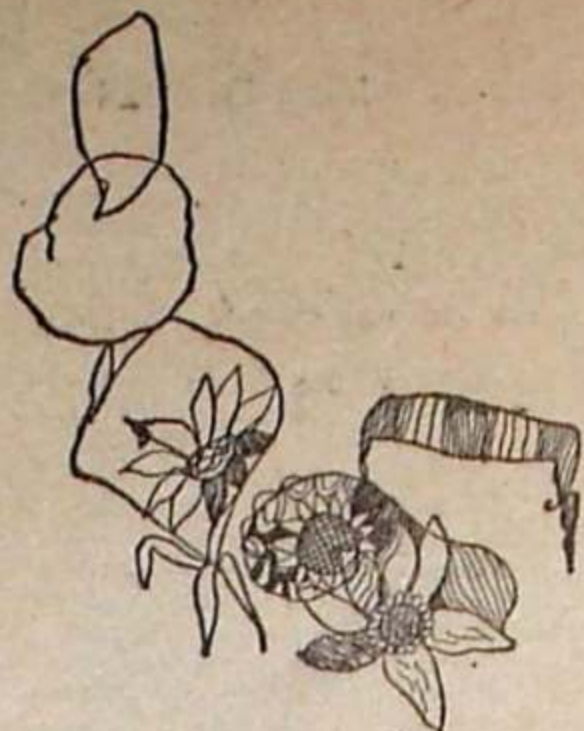
Gustaw Sajdok jest przewodniczącym Grupy Literackiej 33 w Trzyńcu i członkiem Sekcji Literacko-Artystycznej. Jego wiersze pełną prostotą wyraża, celnością obserwacji. Pisząc o Polakach w Czechosłowacji nie sposób pominąć twórczości tego tak znanego za Olszą poety, laureata wielu nagród.

Stanisław Piotr Gaszyński

na skutek ruchów sejsmicznych
mój przedziałek przesuwa się
w kierunku prawego ucha
wypierając wyobraźnię
również wielka
brytania jest w nieustannym

wznosi się tu
opada zaś ówdzie dodajmy
że wycofano okręty – ale
tamta polityka
nie zaprzata mojej głowy
– a z wyobraźnią kłopoty
milimetr po milimetrze
schodzi w stronę wewnętrznego
ucha czasami więc słyszę

mażeńskie i nocną wiatrę
zupełnie jak inni poeci
naszej epoki
choć nie mieszkam w jaskiniach
masowych mitów



Rys. Edward Ingłot

teraz kiedy ulice
różnych tam belfastów
brukuje się sercami wszelkich
kiedy zabrakło paliw i wspaniały
cywilizacji może nagle zwiędnąć
i nawet płatnym demagogom
zabraknie słów lada chwila
nasze cienie i cała ta odwieczna
są dostatecznie śmieszne aby
nie trzeba było porównywać
z piramidami które w końcu
nie pękły ze śmiechu

oddalem
do pralni zaplamiony
lachman duszy

wrócił
bez rogowatych guzów
ale czysty

cóż z tego
skoro świat
pelen jest spalin
i lada chwila udusimy się
we własnych sumieniach

(Z zestawu wierszy, które uzyskały I nagrodę na I Ogólnopolskim Konkursie Literackim „O inny głos”. — Warszawa 1976.)

Henryk Kozak

MARZENIA PŁOTU

Ten płot staruszek nie doczeka
już chyba jesieni
podparty słonecznikiem
jeszcze klóci się ze sroką
i opędza przed wróblami
Nie wie że już wkrótce
spełnią się jego marzenia
w chlebowym piecu w ogień się
przemieni
przez sad o zmierzchu
przemknie niebieskim dymem

CHWILA

Dopala się dzień do snu
układa się rzeka
wiatr zbudził liście
drzewom skarżą się cicho

W sadzie w wilgotnych trawach
osiada dym i zapach
spóźnionych obiadów
zapalają się światła w domach

Z łąk z rozpalonymi pochodniami
wracają umorusane dzieci
przynoszą do domu zapach torfu
i upieczonych ziemniaków

Rażony wspomnieniem tej
minionej chwili
przystaję w kamiennym wąwozie
ulicy
omijają mnie śpieszący dokąds
ludzie
Jakbym pijany był lub pomyłony

W NIEDZIELNE POPOŁUDNIA

Zdziškowi K.
Tadkowi B.

W niedzielne popołudnia
w nadrzecznej trawie
senne dziewczyny
rozkładają koce
rozplątują włosy
i zostają nagie

W tym czasie młody
dwudziestoosmioletni poeta
patrząc na szaro-rude wzgórza
gdzie dzieci
bawią się w zabijanie
wiersz o śmierci
pisze

Śmieją się białe panny
Jakże miękka i ciepła
w kępach olszyny jest trawa
o łąko
łąko cudowna
aż poza horyzont rozfalowana

W CZORAJ MÓJ BRAT

Wczoraj mój brat przywiózł
ze wsi

list od matki
kilka słów zaledwie
że jest zdrowa
i czy ja jeszcze gdzieś
jestem
zapach podwórka i sadu
uciekającego o zmierzchu
w mgłę z łąki

Wniósł do mojego domu
melancholijny spokój pól
na których
już od świtu ogniska płoną
i zbierają się do odlotu
bociany i szpaki

Lecz zanim
zdążyłem się tym wszystkim
nacieszyć
wyjechał
niczego nie zostawiając
Jak moi przodkowie zachłanny

Henryk Makarski

MOJE SNY

moje sny wędrują po mieście
w którym mieszkam zupełnie incognito
nikt mnie nie zna ani ja nikogo
w tym tkwi cały urok prawdziwości moich
zamkniętych w zapomnieniu jutrzejszym
nie rozbudzonych

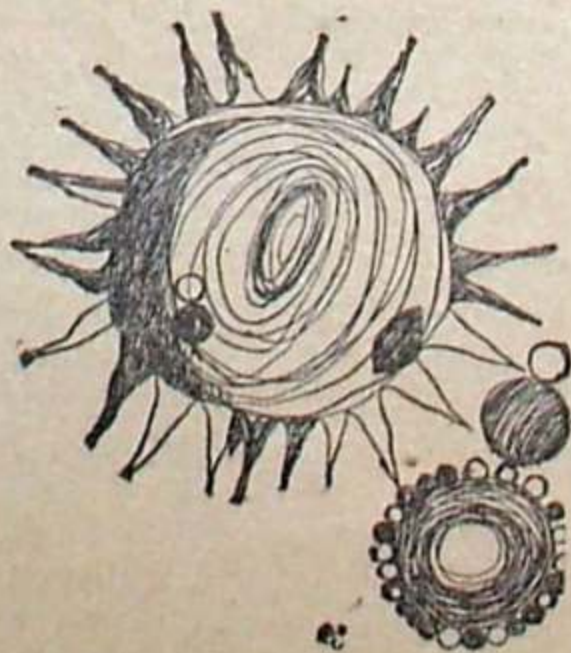
moje sny wędrują po mieście
nieświadome swoich źródeł ani rozczarowań
gdy progi rosną wyżej niż wymach nogi
w radosnym kroku marszowym

moje sny błądzą bez celu
na zewnątrz mnie

DZIEDZICZENIE

już taki jestem – drogi przyjacielu
sam jeszcze nie wiem – co mi w duszy gra
mdleją wierszyki w piersi jak w więzieniu
gdy twarz szarzeje – rzucona pod wiatr

to nasze dziedziczenie dziczenie powolne
z przegniłych korzeni wieków pędy
wypuszczone



Rys. Edward Ingłot

kurczy się trawa trwożnie –
z każdym dniem ciemnieje

to nasze dziedziczenie dziczenie powolne
i ksiąg przepisywanych syte odgrzewanie
aktorstwo pajacowate – drżenie wyszeptane

język rdzewieje – dzwony zębów milczą
i jeszcze wewnątrz niezdrowa ciekawość
co wyrośnie pomnikiem – a co chwastem
tylko

CZASAMI

robię swoje – patrząc w ciemność i światło
piję wodę zatrutą chlorem
dom pachnie mlekiem – cieszę się
jest mi z tym dobrze

czasami tchórzę – uciekam i padam
bezczylnie leżę na niepewnych schodach
a potem biegnę w górę w dół i w górę
gdziekolwiek – lekko – jak na cudzych
patrzy ktoś na mnie – nie? – to jeszcze
znowu noc śpiąca bez żalu łzawieje

PYTANIE

czy można kogoś – kogokolwiek nawet
kto ma konieczny zmysł rzeczywistości
prosty w budowie odporny na wiedzę
czy można kogoś takiego nauczyć
jak ceremonię odegrać pogrzebu?

bo przecież wyszał to już z mądrym mlekiem
i rolę swoją gra jak ludzie
chcą wiedzieć

nawiasem mówiąc – czy można ból ukryć?
oto pytanie godne naszych łez

PROTOKÓŁ NIEDYPLOMATYCZNY

Maria Bechcyc-Rudnicka

USUS adaptacji sztuk teatralnych na użytek filmu jest stały niemal jak świat kinematografii, ale oto narodził się stosunkowo niedawno nowy trend adaptatorski — opracowywanie teatralnych wersji scenariuszy rozgłoszonych filmów. Zapowiada się w ten sposób nieprzewidywana szansa wzbogacenia dramaturgii współczesnej, pod warunkiem, że dzieła metamorfozy będą dokonywać wybitni twórcy. Dowodem — grany obecnie w Teatrze im. J. Osterwy „Protokół pewnego zebrania”, będący parafrazą słynnego radzieckiego filmu „Premia”. Autor obydwóch form, Aleksander Gelman, napisał ów scenariusz tak atrakcyjnie, że Georgij Towstonogow nie zwlekając zamówił u niego adaptację sceniczną i prapremiera sztuki w ieningradzkim Teatrze im. Gorkiego nawet nieco wyprzedziła, w 1975 r., wejście filmu na ekrany.

Od tego momentu zaczyna się triumfalny pochód parafrazy teatralnej Gelmana nie tylko przez sceny ZSKR, ale i w NRD, na Węgrzech, w Bułgarii, w CSRS, w Rumunii, zaczynają się nią interesować i na Zachodzie. U nas w Polsce rzecz narobiła rozgłosu po opublikowaniu jej, w świetnym przekładzie Jerzego Koeniga, w kwietniowym numerze „Dialogu” z ub. r., a zwłaszcza po prapremierze polskiej w warszawskim Teatrze na Woli. A więc, jak widzimy, utwór powstały z inspiracji filmowej przyczynił się do „odkrycia” Aleksandra Gelmana — dramatopisarza.

„Premia” vel „Protokół pewnego zebrania”, vel „Posiedzenie komitetu partyjnego” (pod tym tytułem grał sztukę McChA!) — porusza ogromnie ważne problemy. Ci, co widzieli film, wiedzą, że brygada Potapowa, pewna młoda brygada kombinatu budowlanego, odmówiła przyjęcia premii, ponieważ w danym przypadku owa „premia” okazała się „lipna”, nie zasłużona przez kombinat. Wynikała bowiem ona z przekroczenia planu, którego oznaczenie uzyskano u władz odgórnych za pomocą sprawozdawczości, gdzie rzekomo — niemożliwość wykonania planu pierwotnego, spowodowaną w istocie złą organizacją pracy, opierano sztucznie na przyczynach „obiektywnych”.

Aleksander Gelman, zanim spróbował się w dziennikarstwie i następnie nawiązał kontakt z filmowcami, był przez szereg lat ślusarzem bądź tokarzem w różnych zakładach przemysłowych, zna tedy bardzo dokładnie ich wewnętrzne układy sił. Reakcja „produkcyjna” „Protokołu...” są bezbłądne. Przypuszczam, że ta właśnie bliska znajomość rzeczy oraz przekonanie o nieprzemijalnej aktualności sprawy organizacji pracy (dzis aktualności wręcz palącej) zaważyły na wyborze konkretnego środowiska zademonstrowanego w „Protokole pewnego zebrania”. I dobrze się stało. Samo dosiędnie traktowanie przystępnych treści sztuki już daje obfity materiał do rozważań szerszym kręgom widzów. Tym bardziej, że Gelman z podziwu godną umiejętnością wypunktował dalekosiężne problemy na przykładzie jednego, jak się rzekło, kombinatu budowlanego.

Walory „Protokołu...” nie kończą się na zasygnalizowaniu niebezpieczeństw ekonomicznych wynikających z niecierpliwości tudzież ze swoistego „patriotyzmu lokalnego” czyli braku umiejętności myślenia o sukcesach produkcyjnych w skali gospodarki ogólnopolskiej. Gelman eksponuje nadto w swej sztuce różne postawy społeczne determinowane psychiką poszczególnych zaangażowanych w konflikcie osób, słowem — mówiąc o produkcji mówi przede wszystkim o ludziach i umie zarysować charakterystykę na posiedzeniu, bez wprowadzania byle jakich ubocznych

wątków, zapożyczonych z małego realizmu.

O „Protokole pewnego zebrania” mało powiedzieć: „doskonała sztuka”, jak się częstokroć mawia o sztukach przeciętnie dobrych Stanowczo za mało, gdyż jest to sztuka doskonała. Zmieniając miejsce przymiotnika cncę położyć nacisk na perfekcję faktury utworu. Wydaje mi się, że nikt jeszcze nie napisał sztuki wartościowej pod względem intelektualnym i emocjonalnym z zastosowaniem aż tak prostych środków, jakich użył Aleksander Gelman. Coś podobnego spotyka się chyba tylko w monodramie (najlepszy przykład — „Maria” Iredyńskiego w wykonaniu Kucówny). Przy idealnej jedności miejsca i czasu, przy zredukowaniu działań scenicznych do minimum (wszedł, usiadł, podniósł słuchawkę telefonu, wręczył i ub wziął zeszyt...), cała siła witalna sztuki tkwi w mistrzowsko wyselekcjonowanym, niezwykle „kontaktowym” dialogu i w „akcji wewnętrznej” rozgrywającej się w zrocznawianej psychice osób. Krotko mówiąc, zadanie jest powierzone tylko aktorom oraz pracującemu wyłącznie nad ich postawą reżyserowi (broń Boże, nie „inscenizatorowi”). Jedyne za sprawą głębokiego przejęcia się dyskusją tocząca się „na zebraniu” jakby pułkowała poza obrębem sali posiedzenia ciele wielkiej załogi pracowników kombinatu.

Z tego względu uważam za najcenniejszą tę realizację „Protokołu...”, którą widziałam w ryskim Akademickim Teatrze LSRK, gdzie dramatis personae po prostu zasiadły przy długim, okrytym sukniem stole, wśród publiczności zgromadzonej w dużej sali. W gruncie rzeczy sztuka Gelmana nie wymaga pomocy scenografa, wystarczy jej realizator.

Lubeckiemu teatrowi dramatycznemu brak sali, która pozwoliłaby wystawić „Protokół...” w podobny sposób, bez uszczerbku finansowego powodowanego ograniczeniem liczby widzów. Kto wie tedy, czy nie wario było, wracając do pomysłu zastosowanego przy „Kartotece”, grać na pomoście przetrucionym nad widownią kosztem kilku pierwszych rzędów, co powetowałoby się umieszczeniem części publiczności na scenie. Wydaje mi się, że należało raczej zrezygnować z antyestetycznej w zamierzeniu dekoracji (wg projektu Marcina Jarnuszkiewicza), stylizowanej pod prymitywny barak.

Takie „przedobrze” wynikają niekiedy ze szczerzej enęci realizacji wazkiej sztuki z jak największym nakładem pomysłów inscenizacyjnych. Istotnie bowiem reżyser warszawskiego Teatru Nowego, Wojciech Zeidler, przygotował lubelską premierę „Protokołu pewnego zebrania” bardzo starannie. Jego praca nad ustawieniem roli przyniosła znacznej części obsady niewątpliwy sukces. Mówię „części”, ponieważ Zeidler nie dysponował do każdej roli odpowiednim aktorem (błędy w obsadzie stały się dość częstym grzechem kierownictwa Teatru im. J. Osterwy).

Georgij Towstonogow, prowadząc rozmowę z teatrologiem Aleksandrem Swobodinem, którą niedawno opublikowało u nas pismo „Literatura radziecka”, powiedział m. in., że w „Protokole...” nie ma postaci „dobrych” i „złych”. Wszyscy są bezinteresowni i pragną, by praca szła dobrze... Cnciałabym wszak coś dodać do tej definicji znakomitego reżysera. Otoż na pewno nie figuruje w sztuce Gelmana żaden „malwersant” czy, powiedzmy, osobnik o wyrażnie ziej woli, niemniej wydaje mi się, iż ostry konflikt „na zebraniu” nie daje się wytłumaczyć jedynie faktem, że ludzie znajdują się tu na różnych szczeblach pojmowania rzeczywistości. Starcie wynika chyba poza tym z tych czy innych przywar charakterów. One to



Aleksander Gelman — „Protokół pewnego zebrania”. Kazimierz Siedlecki (Solomachin), Roman Kruczkowski (Lubajew), Włodzimierz Wiszniewski (Batarcew), Piotr Suchora (Potapow), Witold Zarychta (Ajzatullin)

Fot. Zbigniew Żugał

oddziaływały też uprzednio na zasadnicze powody konfliktu. Oprócz Potapowa i jego podopiecznego komsomolca, Toi Zarikowa, którzy są całkiem pozytywni w zakresie poruszanej sprawy, wszystkie pokazane postacie mają mniejsze lub większe przywary: brak odwagi cywilnej, asekuranctwo, opieszałość w dokładnym wykonywaniu obowiązków, skłonność do wybiegów usprawiedliwiających błędy, do animozji personalnych itd. itp. Nie wylącam spod tej krytyki i sekretarza komitetu zakładowego, bo chyba wskutek braku wnikliwości czy zapalu przy pełnieniu tak odpowiedzialnej funkcji, dowiaduje się on dopiero na spóźnionym posiedzeniu o niewłaściwych posunięciach kierownictwa kombinatu, o których już wróble ćwierkają na dachu. A jest przecie sekretarzem powołanym wewnątrz danego zakładu pracy. Czy naprawdę powinien być zasięgiem informacji tylko u zaprzyjaźnionego z nim dyrektora? Inna rzecz, że gdyby Gelman stworzył sekretarza idealnego, nie byłoby sztuki. Pisarz posłużył się potrzebną mu konwencją dramatyczną może nie umysławiając sobie w pełni, że trochę kompromituje postać. Zresztą jego sekretarz bierze część winy na siebie i rozstrzyga w finale sprawę prawidłowo.

Powyzszy mój wywód miał na celu wykazanie, że właśnie psychologiczne uzasadnienie konfliktu w zakładzie produkcyjnym stanowi jeden z głównych walorów „Protokołu...” i że reżyser Wojciech Zeidler uczynił niemało dla sztuki robiąc wszystko, co było w jego mocy, by ten walor nie został zaprzepaszczone.

A oto obsada, z którą Zeidler pracował: Hanna Pater (Kasjerka), Lucjan Zabraniny (Zarikow, robotnik z brygady Potapowa), Piotr Suchora (Potapow, brygadziśta), Kazimierz Siedlecki (Solomachin, sekretarz komitetu zakładowego), Włodzimierz Wiszniewski (Batarcew, dyrektor naczelny), Henryk Gonda (Sitwrenko, spawacz), Ludwik Paczynski (Tomkow, brygadziśta), Maria Szczechowna (Motroszilowa, dzwigowa), Roman Kruczkowski (Lubajew, kadrowiec), Witold Zarychta (Ajzatullin, dyrektor ekonomiczny), Krystyn Wojcik (Frołowski, kierownik techniczny), Henryk Sobiechart (mł. Czernikow, kierownik budowy), Ryszard Kolaszyński (Zjumina, majster), Wanda Wieszczycka (Milienina, ekonomistka).

Na czoło obsady wysunęła się, jak należało, szczególnie ważna postać „Protokołu...” postać dyrektora kombinatu. Osiągnięcie to trzeba uznać za bezsporną wspólną zasługę aktora i reżysera, albowiem a priori sądziło

się, iż rola Batarcewa może znaleźć się poza granicami talentu Włodzimierza Wiszniewskiego. Tymczasem zagrał ją znakomicie, z subtelnym wycieniowaniem wyrazu w każdym momencie, z głębokim wyczuciem sytuacji, w jakiej się znalazł Batarcew idąc na kompromisy. Bardzo interesująco potraktował kadrowca Lubajew Roman Kruczkowski, prezentując konsekwentnie, według własnego określenia — „lisją” postawę konformisty. Właściwym aktorem we właściwej roli jest Ludwik Paczynski, grający brygadziśtę — „udaczniaka” Komsowa. Sympatyczny był w „szczeniackim” zapale i rozbawieniu Toi — Lucjan Zabraniny...

Zostawiłam postać główną na ostatku, ponieważ jej interpretacja nasuwała mi pewne pytania. Bez wątpliwości Piotr Suchora wytaczał racje Potapowa z ogromną siłą przekonania, angażując w sprawę całą widownię i to na pewno jest sukcesem. Ale zastanawiam się, czy ton Suchory, niemal nieustannie zakrawający na oskarżenie prokuratorskie, nie był swobodny aż nadto nierealnie. Z drugiej zaś strony myślę, że może słusznie odpowiadał on zasadzie realizmu socjalistycznego, zalecającego pokazywanie widzów, do jakich należy dążyć.

Na zakończenie kilka słów o ruchu scenicznym. Mówiłam już wyżej, że w „Protokole...” powinien on być zredukowany do elementów ściśle niezbędnych. Dodatkowo może wynikać z odruchów emocjonalnych. Tymczasem w lubelskim spektaklu dostrzegam się sporo ruchów i gestów, które w mechnanie miałyby nazwę „biegu jałowego, nieroboczego”. Ale rozumiem, że reżyser próbował zamaskować w ten sposób pewne niedobory istotnego wyrazu aktorskiego. Proceder ten odwraca jednak niekiedy uwagę widzów od wiele znaczących partii dialogu i narusza jego wartość.

W sumie wszak stwierdzam z przyjemnością, że praca wykonana przez Wojciecha Zeidlera dla lubelskiego teatru dramatycznego była — DORO.

Program teatralny zawiera potrzebne komentarze, a opracowanie graficzne Blanki Gul-Olszewskiej uczyniło go okazalszym od programu łódzkiego Teatru im. S. Jaracza, z którego częściowo został skopiowany (lista obecności z autografami).

Podkopywacze

(List do głównego urzędu statystycznego)

PRZECZYTALEM wasze statystyki dotyczące miejsca pracy obywateli. Jest wyraźnie w nich napisane: tylko i tylko Jugosłowian posiada taki lub inny rodzaj pracy, ale to, moi kochani bracia, nie jest dokładne. Podstawowym zajęciem naszych szanownych obywateli jest podkopywanie. Człowiek pod człowiekiem dołki kopie.

Nie zgadzam się również z waszą informacją statystyczną, że znajdujący się na pierwszej zmianie pracują lepiej niż inni. Człowiek pod człowiekiem dołki kopie tak samo dobrze na wszystkich trzech zmianach.

Nie jest również dokładna informacja statystyczna, dotycząca wieku i zawodu. Człowiek wykopuje pod drugimi dół od wczesnego dzie-

ciństwa. Wy, statystycy, ochoczo przyklaskujecie wszelkim poczynaniom współczesnego człowieka, patrząc jednak na niego przez pryzmat administracji. Nie widzicie jego prawdziwego oblicza.

Człowiek pod człowiekiem dołki kopie wzdłuż i wszerz. Człowiek — podkopywacz nie zamyka się tylko w kręgu własnego środowiska. Nie ma też mowy o patriotyzmie lokalnym. Człowiek kopie pod drugim dołki rękami i nogami. W tym wypadku biurokraci zostali zupełnie

wykluczeni. Nigdzie się nie słyszy „przyjdź jutro, to wykopię pod tobą dołek.” Jutro pod swoim bliźnim wykopywana jest natychmiast

W tym zawodzie nie ma ważne także godziny pracy, jamy wykopywane są o każdej porze dnia i nocy. Człowiek — podkopywacz jest wiecznie młody i pełen siły. Nikt tu nie chce iść na emeryturę. Podkopuje się dożywno. Sposób nagradzania za zasługi w pracy jest jak najlepiej urządzony; więcej wykopanych dołek — więcej sukce-

Rodzina cytatomanów

WPIĘKNYM domku na brzegu rzeki mieszka obywatel cytatoman, z żoną cytatomanką i synkiem cytatomankiem. Jest to bardzo pomysłowa rodzina, która na swój chleb powszedni zarabia wyłącznie językiem.

Obywatel cytatoman nie ukończył żadnej uczelni, ale posiada bardzo długi język (może się nim trzy razy opasać) i jest wielkim retorykiem. Żona jego, cytatomanka, posiada najdłuższy język na świecie, a ciało jej jest obłe i śliskie jak u ryby. Dziecie cytatomanów stanowi osobne zagadnienie. Ono cytuje (nawet naśladuje) ludzi i zwierzęta, gdyż nie wie jeszcze, co ma czynić. Woła kuku-ryku

jak kogut, miauczy jak kot, wyje do księżycy jak wilk, jęczy jak osioł i robi jeszcze trzysta przedziwnych rzeczy. Ojciec i matka zarabiają na chleb cytując wielkich ludzi na przeróżnych zebraniach. W ich przemowach nie ma nic własnego. Cytując klasyków twierdzą, że są marksistami.

Sekretarz komitetu, towarzysz Radosław, miał wygłosić przemówienie o biurokracji i biurokratyzmie. Usłyszał o tym cytatoman i wraz z rodziną udali się na zebranie. Towa-

rzysz sekretarz w swoim przemówieniu wielokrotnie podkreślał, że biurokrację należy wszędzie, gdzie ona się tylko pojawi, wyrębać z korzeniami. Następnego dnia cytatoman miał wygłosić prelekcję o rozwoju leśnictwa w dyrekcji lasów państwowych. Zeby jego przemówienie wyglądało bardziej okazale, zacytował słowa towarzysza sekretarza, ale, niestety, wszystko pokręcił twierdząc, że lasy iglaste i liściaste należy wyrębać z korzeniami.

Ludzie dostosowali się do tej tezy

Astena fotelismus

OBYWATEL Borys Biurokracicz miewa często niespokojne sny. Wielekroć zdarza się, że podczas snu wypada ze swego łóżka i budzi spokojnie śpiącą małżonkę.

Splaszona małżonka pyta go z niepokojem:

— Borysie, cóż takiego ci się stało?

— Znowu przyśniło mi się! — wzdycha Borys.

— Cóż ci się przyśniło?

— Wspaniały fotel dyrektorski.

Małżonka pomaga mu położyć się do łóżka. Borys prosi o chłodne okłady i wodę do picia. Wierna towarzysza życia małżeńskiego poda-

je mu wszystko, masuje go, pociesza.

— Nie przejmuj się tak, bądź dzielny, wytrwały i nie przebieraj w środkach, a na pewno twoja walka o fotel dyrektorski zakończy się pełnym sukcesem!

— Nie wierzę — żali się Borys. — Już tyle czasu nie śpiam normalnie. W nocy zaś staczam ciężkie boje o ten fotel.

— Jesteś słabym strzelcem!

— Nie jestem, rzecz polega na tym, że jeśli uchwycę jakiś fotel, to

jest on dla mnie za mały, niewygodny do siedzenia, a o spaniu w nim nie ma już mowy.

Jak zaś wygląda w marzeniach sennych ta borysowa walka o fotel?

Wielki tor wyścigowy. Wzdłuż tego toru ustawione są fotele dostosowane do wszystkich możliwych pozycji. Przy wejściu na ten tor zbudowane jest jakby wąskie przejście, przez które przepychają się obywatele obydwu płci, w różnym wieku. Wszyscy starają się być jak najszybsi na to-

Człowiek i żmija

DO moich uszu dotarły wieści: w miasteczku, w Hercegowinie żmija ukąsiła krowę, niebawem krowa zdechła.

Dziwię się, że to biedne bydło nie jest odporne na jad żmii.

A ludzie są odporniejsi. Mój przyjaciel K. żali się:

— Ukąsiła mnie żmija sąsiadki Daruski...

— Ukąsiła mnie żmija z sąsiedniego sektora...

— Ukąsiła mnie żmija ze związków zawodowych...

I w taki sposób przyjaciel K. maził wiele napastliwych żmii.

— Zdrow jest jak ryba.

— Posiadam 1 ja żmiję — oznaj-

ma przyjaciel K. — ale nie jest trująca. Ja mam dobrokliwą, a on bardzo trującą.

— Jak więc zostałeś żywy, kiedy tyle razy byłeś kąsany, człowieku?

— Przypadek, tylko przypadek! Nie trafiły we wrażliwe miejsce.

Słucham go, a on dodaje:

— Żmije teraz są zwierzętami hodowlanymi. Trzeba przecieć miętę swojego obrońcę. Przyjdiesz, powiemy, na spotkanie z własną małżonką i przyniesiesz swoją żmi-

ję. To również radzę ci zrobić, kiedy wybierzesz się na spotkanie związków zawodowych. A jeśli chcesz skrytykować kogoś, a nie wierzysz w efekty tej krytyki, wypuść swoją żmiję, niech ona go nauczy. Niektórzy ukrywają swoją żmiję za pazuchą. W pewnym miejscu przedstawiciele znanego związku ogłosili przed zebraniem: „Obywatele i obywatelki. Otwieramy dyskusję i ogłaszamy wszystkim chętnym, którzy pragną brać w niej udział, żeby wy-

Krytyka

WCZORAJ przyniósł mi synek Ziwoina krótką karteczkę. Pisze do mnie przyjaciel Ziwoin: „Przybądź szybko

— bardzo mi jesteś potrzebny. Jeśli nie przybędziesz — powieszę się”. Pędzę do jego domu. Widzę, że nie ma ani żony ani dzieci. Przeczuję, że będzie to poważna rozmowa, wyłącznie w cztery oczy.

Kochaliśmy się jak bracia. Musiałem koniecznie mu pomóc, żeby przestał się martwić swoimi problemami. Ziwoin owinął głowę chłodnymi kompresami, wyglądał strasznie, twarz mu zupełnie posiniała. Przestraszyłem się widokiem jego oblicza, zapytałem:

— Cóż się z tobą dzieje, drogi Ziwoinie?

— Jestem zrozpaczony — mówi Ziwoin przez łzy. — Jeśli mi nie

pomożesz, nie wiem, co się stanie z mną. — Po czym rozpoczyna swoją opowieść.

— Drogi przyjacielu. Od lat pełnię funkcję przewodniczącego w swoim kolektywie, a nikt nigdy mnie nie skrytykował, chociaż popełniałem błędy nie jak jeden, ale co najmniej trzech ludzi. To mnie strasznie męczy. Złoszczę się na cały kolektyw, jak też oni odnoszą się do mnie. Już sam nie wiem, co zrobić, żeby wreszcie mnie skrytykowali, ale wszystko jest bez rezultatu...

Próbowałem już wszelkich sposobów. Zwalniałem paru robotników, a na ich miejsce angażowałem znanych przodowników pracy. Niestety — nie pomogło. Wszyscy myślą tak samo, jak jeden mąż. Próbowałem

stawiać zarzuty niewinnym ludziom, aby chociaż w ten sposób ktoś broniąc się mnie zaatakował. Ale wszyscy przyjmują krytykę i wzruszają tylko ramionami. A ja się stale męczę. Więcej już nie wytrzymam.

Dlatego też wezwałem ciebie, jako najlepszego przyjaciela, żebyś mnie solidnie i ostro skrytykował — w cztery oczy!

Mnie też ta propozycja niezbyt odpowiadała. Rozpocząłem rozmowę delikatnie od tego, że Ziwoin sam nie wie czego chce i dlaczego mam go krytykować, kiedy jest naprawdę wzorowym pracownikiem o nieposzlakowanej opinii i wszyscy wyrażają się o nim pozytywnie i tak dalej. A Ziwoin podniósł krzesło na mnie.

— Zamilcz — krzyknął. — Nie

sów. Technika również nie tu nie pomaga. W tej pracy nie mogą maszyny zastąpić człowieka. Ciekawe, czy to zajęcie będzie również popularne w przyszłości. Możliwe, że kiedy wszyscy będą nagradzani według potrzeb, zdarzy się, że zjawi się przed twoim progiem człowiek i zapyta:

— Obywatelu, jeśli zechcesz, wykopię ci dołek według twoich własnych potrzeb.

Starajmy się do tego nie dopuścić. Dlatego też musimy powoli zaprzestawać tego niebezpiecznego zajęcia.

A ty, główny urząd statystyczny, opracowuj dalej swoją statystykę, ale proszę cię bardzo, weź pod uwagę moje spostrzeżenia zawarte w tym liście.

I jeszcze tego samego dnia wyrębał wszystkie lasy w okolicy. Ktoś jednak wpadł na pomysł, że popełniono wielki błąd i uderzono w płacz za zniszczonym pięknem natury i straconymi dobrami materialnymi.

Cytatoman jednak nie przejął się i odpowiedział im: Towarzysze i towarzyszki, nie rozpaczajcie. To właśnie ja jestem pięknem natury i waszym wspólnym dobrem.

Spotkałem wczoraj cytatomana, jest żywy i zdrowy. Spieszył się, gdyż miał wygłosić następne przemówienie. Jego żona, cytatomanka, czuje się doskonale. Ciągłe ma jakieś zajęcia, a ich szanowne dzieci również odnosi sukcesy.

Szczęśliwa jakaś rodzina.

rze. Wyścig ma jeden cel: zdobycie jak najwygodniejszego fotela. Tak walczy we śnie Borys Biurokracicz. W tym ogromnym wyścigu wskakuje na coraz lepsze fotele, ale najczęściej zamiast znaleźć się na fotelu spada na tor, czyli na podłogę obok swojego łóżka. Nie można się dziwić, że człowiek po tak licznych upadkach czuje się całkiem obolały. Małżonka prowadzi Biurokracicza do lekarza. Lekarz nie chce go nawet zbadać, od razu ustala diagnozę.

— Ta choroba nazywa się astenia fotelismus. Ona jest, niestety, nieuleczalna.

Jednakże lekarz na wszelki wypadek przepisuje pacjentowi lekarstwo — na uspokojenie.

ciągnęli swoje żmije zza pazuchy i wstawili do klatki za budynkiem, która na ten cel została specjalnie zbudowana. Obywatele i obywatelki. Żmije należy zostawiać przed wejściem na salę”.

Zniecierpliwilem się, nie mogłem już dłużej słuchać przyjaciela K.

— Gdzie pędzisz? — zawołał za mną.

— Idę i dla siebie postarać się o żmiję — odrzekłem i popędziłem w pierwsze lepsze zarośla.

— Hej, przyjacielu — woła za mną K. — jeżeli już postanowiłeś posiadać żmiję, weź sobie koniecznie trującą, jest daleko pewniejsza od niejadowitej.

męcz mnie i ty. Poprosiłem cię żebyś mnie skrytykował, więc krytykuj!

Wtedy rozszłoszczony rozpocząłem sypać zarzuty jak z rękawa. Wytykałem mu najgorsze rzeczy. A Ziwoin szczęśliwy wyglądał jak ciasto rosnące na drożdżach. Krytyka natychmiast go wyleczyła. Zaczął zrzucać okłady z głowy, twarz jego znowu nabrała rumieńców.

Po skończonej krytyce usiedliśmy, ażeby się napić.

— Dziękuję ci przyjacielu, dziękuję za tak cudowną krytykę. Wdzięczny ci jestem jak bratu — mówi Ziwoin.

— Dziękuję i tobie drogi mój Ziwoin — odparłem i ucałowałem go serdecznie.

I ja czuję się jak nowo narodzony. Może nawet i podświadomie, ale moim najskrytszym marzeniem było, żeby wreszcie móc skrytykować kogoś nieskazitelnego, na wysokim, odpowiedzialnym stanowisku i — bez konsekwencji.

LYSEGO poznał od razu, bo Lysy niewiele lat temu wyjechał z tego miasta. Dyszla — nazywali go tak w szkole, bo był długi jak sosna — i Janka Muzykanta mógłby nawet nie spoznać, gdyby właśnie nie Lysy, który stał obok nich. Czwierć wieku minęło od dnia ostatniego dzwonka. Dla niego ten ostatni dzwonek zabrzmiał nawet o rok później...

Siedzieli teraz wokół okrągłego stołu. Stół był stary, przedwojenny, antyk niemal, już na pierwszy rzut oka widziało się, że robił go dobry rzemieślnik.

— Stuknijmy się, chłopcy! Nasze kawalerskie! Ha, ha, ha! Chyba pierwszy raz pijemy w tak sielankowych warunkach? Gospodarz najwyraźniej poczał się rozrzewniać.

— Kusy, co się z ciebie zrobiło? Przecież ty nigdy nie byłeś trunkowy! — zaśmiał się Dyszel. — W twoje ręce, gospodarzu, i w ręce szanownej małżonki!

— Dyszel zaraz zaproponuje nam roberka! — Janko Muzykant klepnął Dyszla po ramieniu. Ci dwaj znali się najlepiej. Z Warszawy ich przyniosło. — Ale z Dyszlem grać nie radzę. Pierwszoligowiec. Czy wiecie, że on trzech synów wychował na tegich brydżystów? Każdy z nich wycykalby nas do ostatniego szelaga!

— Ludzie rosną — zawołał Kusy. — Chłopaki, jak ja się cieszę, że was znowu widzę!

— Dobrze, że nie masz fortepianu. Muzykant dałby tu koncert!

— Koncert? Brzdąkał kiedyś trochę...

Dyszle zaśmiał się głośno: — Brzdąkał? Ale ty, Kusy, jesteś prawdziwy. Jędrak z prowincji. Nasz Janko pół życia spędził za granicą. Śpi na dolarach. Sława.

— W konia mnie robisz... — Kusy spoglądał z powątpiewaniem. — Mańka — zawołał do żony — przynieś jeszcze z lodówki coś na język.

— Może za chwilę. Jeśli macie grać w brydża... — usiłowała nieśmiało protestować.

— Nie gadaj, dawaj stara...

— Tylko nie stara!

— Dobra, dobra... Dwadzieścia pięć lat Dyszla i Muzykanta nie widziałem. Czwierć wieku, cholera. To cud, żeśmy się dzisiaj spotkali...

— Jaki tam cud? — Dyszel sprowadził wszystkich na ziemię. — Dyrek umarł. Fajny był chłop. Czy wiecie, że on zrobił ze mnie człowieka? Siedliśmy kiedyś do brydża...

— Z Dyrkiem siadłeś do brydża? Nie zalewaj!

— Żebyś padł trupem! On wiedział, że ja to kocham. Raz złapał mnie z kartami. Zabrał i poprosił na rozmowę. Skóra mi ścierpła, bo rozmowa z Dyrkiem to nie przelewki. — W co grasz? — spytał. — W brydża — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — A w pokera nie? — Za co mam grać w pokera? — Ja ci dam pokera! Ze szkoły wyrzucę!

— No i wiecie, co było dalej? Przyszedł kiedyś do mego starego — ojciec był wtedy burmistrzem, zjawił się jeszcze wuj Dyzia, ten magistracki urzędnik, wypili po kielichu i kart im się zachciało. Zaczęli z dziadkiem, ale wiecie, jak to z dziadkiem. I wtedy Dyrek przypomniał sobie o mnie. Jakoś głupio było mu proponować, rozumiecie, jak to jest, ale graliśmy sportowo, bez forsę, a i ojciec nie miał naprzeciw. Siadłem z Dyrkiem i w pierwszym rozdaniu wylicytowałem szlema.

— Dyszel, pleciesz farmazony. Szlemika chyba!

— Szlema, jak Boga kocham, że szlema. Dyrek zblił, spojrzal na mnie tak, że aż mnie ciarki przeszły.

— I leżeliście bez trzech!

— Co najwyższej mogliśmy leżeć bez jednej, ale impas damy się udał.

— Damy nie damy — przerwał Kusy — ale gdzie jest ta wódka? Mańka, zaspalała tam w kuchni, czy co, u licha?

Nowa butelka zjawiła się na stole.

Przez chwilę milczeli. Okazja, która zgromadziła ich teraz przy jednym stole, nie należała do wesołych. Słowa Dyszla wprowadziły ich w inny nastrój.

— Czekać, nie skończyłem — Dyszlowi najwyraźniej zaczął rozwiązywać się język. — Tego robra, podwójnego, wygraliśmy wysoko. I potem co drugi dzień chodziłem do Dyrka. Co myślicie, że dawał mi dodatkowe lekcje z matematyki?

— Tak truleś wtedy.

— A co miałem mówić, kiedy kazał mi milczeć jak grób? — Ty masz talent brydżowy — wołał — i nie wolno ci go zmarnować. Teorię musisz opanować! — To jego słowa. Jakbym je dzisiaj słyszał.

— Wiecie co, chłopcy? — do głosu doszedł Janko Muzykant — ćwierć wieku minęło, a mnie się zdaje, kiedy tak tu siedzę wśród was, że rozstaliśmy się wczoraj, no, powiedzmy, tydzień temu. Przecież my nawet tym samym językiem mówimy!

— Wódka. Wszystko robi wódka. Pamiętasz, Muzykant, jak spotkaliśmy się na pogrzebie? Nic się rozmowa nie kleiła. Patrzymy na siebie, jak obcy. Gdyby nie ty, Lysy, to Janko wślady do swego fiaciny, ty, Dyszel, wpakowałbyś się do trabanta...

— ...i tyle byśmy się widzieli. Siedziałbyś teraz z Lysym i wspominał. Bo Lysy przyjechał pociągiem? — zainteresował się nagle Janko Muzykant.

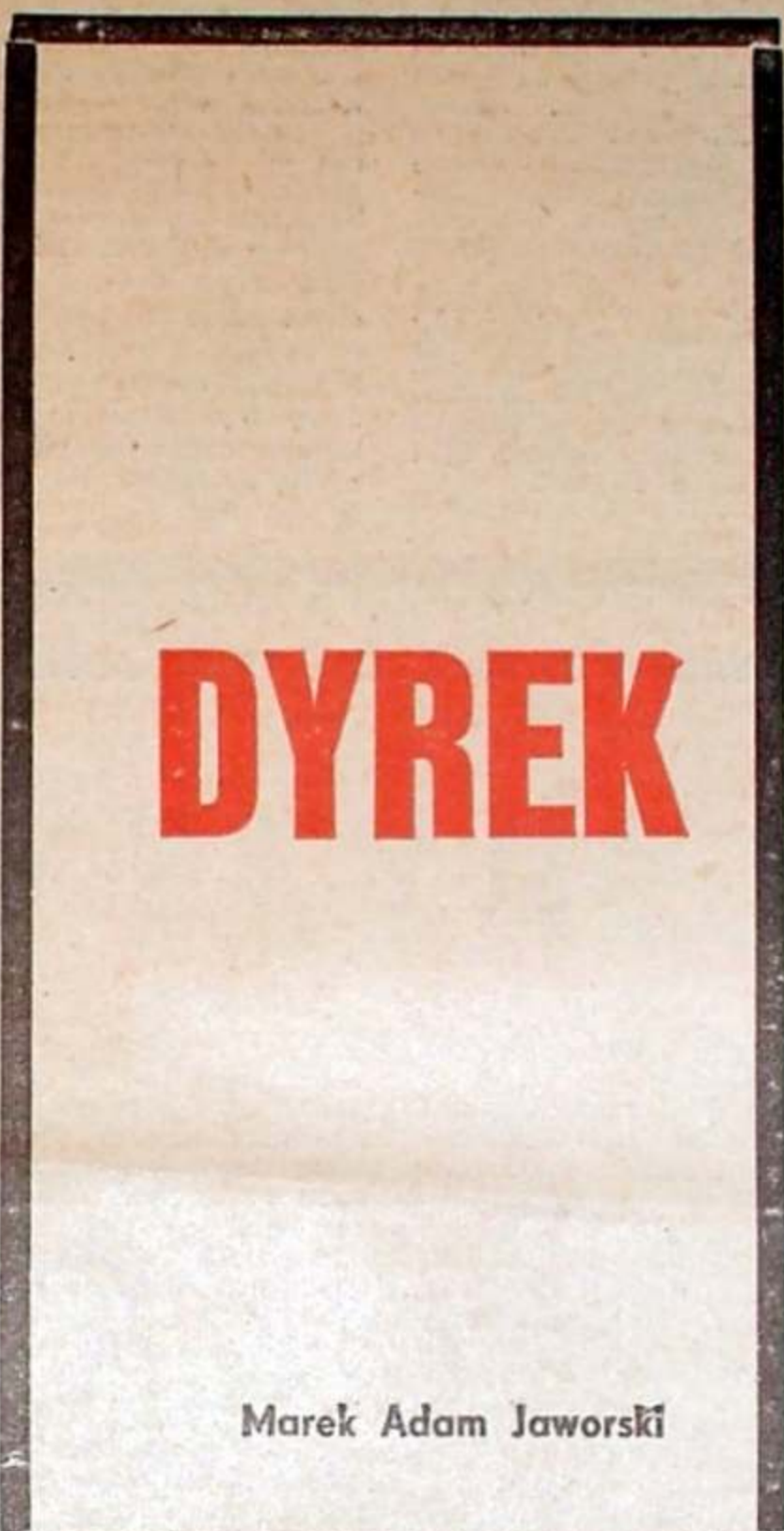
— Pociągiem. Zawsze pociągiem. Wozu nie kupię, jeszcze mi życie miłe. A poza tym absolutna wolność. Wy się teraz nie ruszycie, bo się będziecie bać dmuchania w balonik. A ja w każdej chwili mogę powiedzieć adieu.

— Dyrek też nie miał wozu, a zginął w wypadku samochodowym. Sześćdziesiąt dwa lata. Mógł jeszcze żyć.

— W naszych czasach to był chyba najmłodszy dyrektor. Najmłodszy na całe kuratorium. Ja mu też wiele zawdzięczam. Gdyby nie on — rozkrochmał się Janko Muzykant — nigdy nie byłbym tym, kim jestem.

— A co? Z ciebie rzeczywiście taki wielki artysta? — Kusy nie dowierzał.

— Ty, prowincjusz! Telewizji nie oglądasz? Radia nie słuchasz? Gazet nie czytasz? — Dyszel był szczerze oburzony.



Rys. Konrad Kozłowski

— Nudzi mnie brzdąkanie. Gdy tylko w okienku zobaczę faceta przy fortepianie, naciskam guzik i spokój.

— Tak — ciągnął Janko, jakby mówił sam do siebie — on za własne pieniądze opłacał mi lekcje muzyki.

— Teraz znowu ty czarujesz! — Kusy wyciągnął chusteczkę i otarł spocone czoło.

— A za co bym się uczył? Chowałem się w internacie. Nasz szkolny muzyk nie był nadzwyczajny, może jeszcze trochę na skrzypcach potrafił, ale

jedno, co dobre: wyczuł, że fortepian mi leży, że mam dobry słuch. Powiedział o tym Dyrkowi, Dyrek się zainteresował i posłał mnie na lekcje do Toruńskiego, wiecie, tego z budy na Warszawskiej. Ja myślałem cały czas, że Toruński tak z dobrego serca mnie uczy. Dopiero po latach, chyba dziesięć, dowiedziałem się, że Dyrek za wszystko płacił. Kartki wysyłałem mu z podróży.

— Kartki, oczywiście, kolorowe. Las Palmas, Las Vegas...

Przez moment Kusy zapomniał o roli gospodarza, ale napotkawszy wzrok swojej żony, uspokoił się natychmiast. — Kochani — zawołał — wypijcie z moją Mańką brudzia. Dwanaście lat się z nią meczę. Miód, nie kobieta. Żadnej awantury. W czepku się chyba urodziłem. Coś wam powiem, tylko skończcie te pocałunki. No, nie tak mocno! — I po chwili: — Wiecie, ja z Dyrkiem nie żyłem najlepiej.

— Boś był patentowany leń — wyrębał Dyszel. I jemu udzielił się bardziej nerwowy nastrój wieczoru.

— No, no, przyganiał kocioł garnkowi. Pierwszoligowiec karciany! Ja byłem wprawdzie tylko drugoligowcem, ale jak strzelałem gole! Kibice na rękach mnie nosili!

— Tak, tak, on ma rację. Dyrek nie lubił piłki nożnej.

— Nie lubił? Nie cierpiał! Przecież przez tę piłkę do matury mnie nie dopuścił. Zdawałem jako ekstern.

— Ale nie czujesz do niego żalu?

— Za tamto czuję. To jeszcze pieczę. Ale za Mańkę mu wszystko daruję.

— A cóż ma tu Mańka do rzeczy?

— Właśnie dzięki niemu — ja poznałem. Mańka była daleka kuzynka Dyrka. Kiedy zmarła jej rodzice, Dyrek ściągnął ją do siebie ze wsi. A gdyby było inaczej, nigdy by nie została moją...

— A dał ci ją za żonę?

— Dał? Sam wziąłem. Nie chciał o mnie słyszeć, boczył się przez kilka dobrych lat. Ale kiedy przekonał się, że my tworzymy najzgodniejszą parę w mieście, sam przyszedł do nas do domu. A kiedyś nawet na ślubie nie był. Słowo daje! W przeciwieństwie do was nie wiecie o dalszych losach Dyrka. — Kusemu nagle wywietrzało z głowy alkohol. Patrzyli na niego zdziwieni. Tylko Lysy wziął szklankę i do połowy napełnił ją wódką, którą szybko wlał do gardła.

— Powiedz, Lysy, co było dalej?

— To ty, Kusy, powiedz! — Lysy wbił wzrok w podłogę.

— Kiedy Dyrek do nas przyszedł, znaczy się, aby się pogodzić, to już nie pracował w szkolnictwie. Przeniósł się do przemysłu. Wiecie, że on matkę, chemię miał w jednym palcu. I właśnie dzień po tej jego u nas wizycie nastąpił w fabryce wybuch. Dyrek wprawdzie wyszedł z życiem, ale całkiem stracił słuch i prawie zupełnie już nie widział. Ostatnie lata to dla niego wieczna cisza i wieczna ciemność. Jak w grobie... Żył w specjalnym zakładzie... Lysy, nie pij już!

Lysy wybiegł do łazienki.

— Co mu się stało?

— No właśnie, Lysy pracował w tej samej fabryce. Poprzedniego dnia zawił się i nie przyszedł do roboty. Dyrek go zastąpił.

Zapanowało milczenie.

— To znaczy — przerwał je Janko Muzykant — że wybuch mógł nastąpić wtedy, gdy na stanowisku był Lysy. Czyli Lysy zawdzięcza Dyrkowi największą spośród nas: wzrok i słuch.

— Po tym wybuchu Lysy wyjechał z naszego miasta. Dopiero dzisiaj na pogrzebie znów go zobaczyłem.

Ciszę, która zapadła, zmącił z kolei Dyszel:

— Słuchaj, Kusy, a ty co właściwie robisz? Nie powiedziałeś nam, jaki wybrałeś zawód. Jak widzę, powodzi ci się całkiem, całkiem...

— Takiej willi — wtrącił się Muzykant — to ja nie mam w Warszawie...

— Co robisz? Chcecie naprawdę wiedzieć, co robisz?

— A niby dlaczego nie? — Dyszel i Janko Muzykant powiedzieli to niemal jednocześnie.

— Co robisz? Trumny, ot co...

Powiało chłodem.

— Dyrek leży wygodnie. W trumnie na wyrost. Dębowej. Dopilnowałem, aby była w pierwszorzędnym gatunku. Odwdzięczyłem mu się za nas wszystkich. Gdybym widział gdzieś te twoje kartki kolorowe z zagranicy, to też bym mu je włożył do trumny!

Janko Muzykant wstał nagle, lekko się zatoczył i uderzył w twarz Kusę. Było to tak niespodziewane, że Kusy spadł z krzesła na podłogę. Ale tylko na moment. Rozdzieliła ich Mańka.

— Coś ty zwariował? Pianista, najlepszy wśród bokserów! Ja pluję na twoją sławę, ja pluję na twój fortepian, ja mam ciebie...

— Uspokój się, to nasz gość — prosząco odezwała się Mańka.

— Gość, chuligan nie gość...

— Panowie, przyjechaliśmy na pogrzeb. Jeden pogrzeb wystarczy! Proponuję jednak roberka! — Tubalny głos Dyszla zapanował niepodzielnie.

ODEJŚĆ OD SCHEMATU

Istvan Grabowski

STWORZONA w 1975 roku przez byłego muzyka Bractwa Kurkowego, Zbigniewa Nowaka grupa „Happy End” przebojem zdobywała publiczność. Lekkie, melodyjne, a przede wszystkim chwytliwe piosenki typu „Szczęśliwy finał”, „Piękny jest świat”, „Wyslij do mnie SOS” czy ostatnia „Jak się masz kochanie”, systematycznie nadawane przez radio, uczyniły z zespołu w dosyć krótkim czasie ulubienca publiczności. Sukcesy na listach przebojów i autentyczna popularność wspomnianych kompozycji nie szły jednak w parze z publicznością, jakie zgotowali grupie niektórzy dziennikarze. Uważny czytelnik kilku znanych periodyków mógł czuć się zdezorientowany sprzecznymi opiniami, tym bardziej jeśli nie widział i

nie słyszał zespołu „na żywo”. Jedni bowiem chwaili Nowaka, poklepując niejako kumotersko po plecach, inni zaś odsądzali od czci i wiary. Przyznam szczerze, iż sam w pewnym momencie nie miałem na temat „Happy Endu” wyrobionego zdania. Zaufanie jakim darzyłem kolegów po piórze, kaźło mi wierzyć ich publikacjom, choć z wyrażeniem własnej opinii wolałem poczekać do koncertu. Sprzyjająca okazja nadarzyła się, kiedy staraniem naszej Estrady „Happy End” zawitał do Lublina. Koncert odbył się w Domu Kultury Kolejarza i muszę przyznać, że był dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Przede wszystkim okazało się, że większość niepoehlebnych opinii krążących o tym zespole była najwyraźniej wyssana z palca.

Wiele miałem dotąd okazji oglądania przeróżnych festiwali, przeglądów, koncertów i gitarad. Brali w nich udział mistrzowie i zupełni chłuturnicy, geniusze i prawdziwe beztalencja. Wszystkie imprezy łączyła jednak wspólna cecha — schematyczność. Ot, po prostu wystrojony we frak i muchę pan konferansjer zapowiadał wykonawcę, który po wielkich a rzęsiwych owacjach pokazywał się zgromadzonym sympatykom. Taki sposób prezentacji artystów mocno się u nas zakorzenił, choć krytykowano go nieraz i próbowano zmieniać. I chyba dlatego, ilekroć odwiedziłem nas zagraniczni wykonawcy z własnym „show”, bądź telewizja nadawała jakiś zachodni program, nasi spece od rozrywki czuli się

sfrustrowani. Bo czyż nie stać nas na takie występy? O programach „show” mówiono później bardzo dużo, a kończyło się zazwyczaj na obietnicach. Pierwszy odważył się przełamać obowiązujący kanon „wielki wesolek” estrady Andrzej Rosiewicz. On to właśnie wraz z towarzyszącym HAGAWEM zrobił pierwszy program rodem z francuskiej Rivieri, wprowadzając na scenę miast sztywnego konferansjera, tłum wykonawców, humor, taniec i nastrój swobodnej zabawy. Zarówno w Opolu, Sopotcie jak i w warszawskiej Sali Kongresowej słuchacze nie wychodzili z podziwu dla inwencji twórczej i humoru Rosiewicza. Jego show nosił już znamiona prawdziwej rozrywki. Następna w kolejności była Rodowicz, której zamarzyło się wystawić program „Ma-

JAK co roku, na początku kwietnia spotkali się w Świdniku najlepsi wykonawcy amatorzy uprawiający muzykę w gatunku popularnym jazzowi. Finał VI Międzywojewódzkiego Przeglądu Wokalistów i Młodzieżowych Zespołów Muzycznych zgromadził reprezentantów województw: lubelskiego, białkopodlaskiego, chełmskiego i zamojskiego. Reprezentantów tych wyłoniono w eliminacjach wojewódzkich. Przegląd w Świdniku jest doroczną prezentacją osiągnięć młodzieżowego środowiska muzycznego makroregionu, jak również miejscem konfrontacji wokalistów i zespołów muzycznych. Idea imprezy, wyrażona w regulaminie, stawia sprawę jednoznacznie: wykonawcom zaleca się różnorodność gatunków, zwracanie uwagi na warsztat oraz twórczy wkład w zakresie kompozycji i aranżacji własnego repertuaru. W kryteriach oceny dużą rolę odgrywa również sam dobór repertuaru oraz stopień uniezależnienia się od stereotypów. Chodzi też o upowszechnienie tych wartości estetycznych i wychowawczych, które nie mogą być obce modelowi naszego społeczeństwa i czasom, w których żyjemy. Oczywiście osiągnięcie odpowiedniego efektu artystycznego i sprostanie wymogom współczesnej estetyki wymaga od wykonawców dużego nakładu pracy i zaangażowania, dlatego praca w ambitnym zespole jest dla młodych muzyków szkołą dyscypliny współżycia w kolektywie.

W tym kontekście wydaje się, że świdnickie finały młodych muzyków amatorów od kilku już lat są pozytywną odpowiedzią na apel wielu publicystów zastanawiających się nad przyszłością polskiej estrady i domagających się jej odświeżenia. Nie od dziś wiadomo, że czołowi wykonawcy amatorzy są jej narybkiem, że narybek ten jest różnie rozwijany i różnie wykorzystywany. Ostatnie lata dla zespołów naszego makroregionu, który bynajmniej nie był ich wyjątkiem, należały do

ŚWIDNIK 77 W OCENIE PRZEWODNICZĄCEGO JURY

bardziej pomyślnych. Wyrazem tego jest choćby wejście „Budki Suflera” na estrady kraju oraz wysoki poziom takich grup amatorskich, jak „Ikersi”, „M-4”, „Fly”, „Qvo vadis” czy „Sequentes”. Są to reprezentanci o wiele szerszego i ustabilizowanego już środowiska, w którego powstaniu i jakościowym rozwoju dużą rolę w sensie inspiracji i sterowania odegrały kolejne przeglądy świdnickie.

Jak prezentowało się w tym roku to środowisko pod względem ilościowym i jakościowym? Zilustrujmy to na przykładzie województwa lubelskiego. W eliminacjach rejonowych wystąpiło 19 zespołów spośród których dziewięć zadebiutowało. Świadczy to o wciąganiu w orbitę przeglądu coraz to nowych zespołów, zwłaszcza z mniejszych ośrodków (dla przykładu zespół „Sigma” z Ryku). Nie wszystkim grupom udało się sprostać zadaniu: niewiara we własne możliwości twórcze skłaniała, często, szczególnie zespoły niezaawansowane technicznie, do podejmowania dyskotekowych standardów. Można mówić jednak o tendencji zwykłej poziomu gry zespołowej, dalszym różnicowaniu i poszerzaniu gatunków uprawianej muzyki. Zmiany jakościowe wyrażały się

także w poszerzaniu składów zespołów oraz instrumentarium, za czym szedł rozwój aranżacji instrumentalnej (np. grupa „Speed—Zak—Band” z Lublina). Charakterystyczna była pozytywna fasyllacja elementami jazzu („Jazz Quartet Sorbona”, „Medyk”, zespół ze Spółdzielni Niewidomych) i jego czołowymi animatorami (Ch. Corea, K. Jarret, B. Cobham).

W finale międzywojewódzkim wzięło udział osiem grup muzycznych. Muzyka, jaką zaprezentowały, w swej warstwie instrumentalnej zdominowała wokalistykę o charakterze instrumentalnym typu scat i z tekstem. Mimo to jej jaśniejszymi punktami były wokalizy Krzysztofa Magkwardta (Puławy), Tadeusza Swierbutowicza (Świdnik) i śpiew z tekstem Zbigniewa Szydłowskiego (Zamość).

Zespoły wykonywały muzykę typu jazz-rock, symfoniczno-rock i hard-rock, modern-jazz i nieliczne piosenki pop. Dobre przygotowanie wykazały grupy muzyczne z województwa lubelskiego, co m. in. ma związek z podtrzymaniem z okresu dużego województwa systemu szkolenia i eliminacji rejonowych, a więc pracy metodycznej — w ciągu całej

IMPRESJE

SYMPOZJUM KÓŁ MŁODYCH PEDAGOGÓW

Źródło zwycięstw i porażek w rodzinie

DZIEWIĘTNASTOLETNI dorobek z pewnością uprawnia Kół Naukowe Pedagogów Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie do zorganizowania ogólnopolskiego sympozjum, w którym uczestniczyli członkowie podobnych kół z wszystkich niemal uczelni humanistycznych kraju. Wazną też był temat tego czterodniowego spotkania kwietniowego w Puławach i Lublinie: chodziło bowiem o problemy rodzin dzieci odseparowanych od normy psychofizycznej. Jakże rzadko w naszej literaturze naukowej i popularnonaukowej problematyka ta jest poruszana, jak mało miejsca pedagogika specjalna zajmuje w ogóle w procesie kształcenia nauczycieli dla szkoły dziesięcioletniej! Z tym większym uznaniem należy więc odnotować inicjatywę Kół Naukowych Pedagogów UMCS, a także patronujących mu naukowców z Wydziału Pedagogiki i Psychologii tej uczelni.

Oni też udostępnił uczestnikom sympozjum własne badania.

Doc. dr hab. Zofia Sękowska przedstawiła problem akceptacji dziecka w rodzinie, doc. dr hab. Maria Ziemska — postawy rodziców względem dzieci defektywnych, doc. dr hab. Tadeusz Galkowski mówił o zagadnieniach podstawowej komórki społecznej posiadającej dzieci upośledzone umysłowo, z czym współbrzmiały wyniki analizy mgr. Zdzisława Bartkowiaka.

Wspomniany wydział wyróżniła się także korzystnie wśród innych placówek tego rodzaju, że nie są mu obce problemy z dziedziny tyflopedagogiki i surdopedagogiki, wykorzystano więc z okazji, by tym zagadnieniom poświęcić także uwagę zjazdu młodych pedagogów, toteż dr Józef Biachyński przedstawił problemy rodzin dzieci z defektem słuchu, a studentka Joanna Szponarowicz z lubelskiego Koła Naukowego Pedagogów zrealizowała „postawy nauczycieli i uczniów wobec uczniów z upośledzeniem wzroku i słuchu kształtujących się w interakcji z dziećmi normalnymi”. Mimo niereprezentacji wyników i szacunkową intencją

odczuwać jednak wewnętrzny sprzeciw. Kazi mnie sąsiadowanie obu tematów z pozostałymi, zgólnymi zresztą z tematem sympozjum. Jesli chodzi o dzieci niewidzące, głuche, giuchonieme i nieme, to trudno uważać je za niernormalne lub mieszczące się w grupie przestępczej z powodu ich kalektwa, więc te problemy wymagają wyraźnego odgraniczenia, warte są zresztą odrębnego zjazdu młodych pedagogów w latach przyszłych. Zgłaszam jednak tylko obiektywne uwagi porządkowe, a nie w odniesieniu do treści wspomnianych wystąpień, bo tyca wciąż jeszcze za mało.

Ze względu na charakter sympozjum zajmowały się nie tylko wynikami badań naukowych, ale przede wszystkim tymi, którzy nimi, byc może, zechcą w przyszłości zostać. Największą aktywność wyrażali gospodarze tego ogólnopolskiego spotkania przedstawiciele Kół naukowych pedagogów. Oprócz strony organizacyjnej przegawili oni pięć referatów (Jawwiga Głusa, Irena Japowicz i Zdzisław Łarkowski, Zofia Kwiatkowska i Zdzisław Tarkowski, Jawwiga Rajak i Andrzej Pleciecki) oraz wspomniana już Joanna Szponarowicz. Międzywydziałowe Kóło Naukowe Pedagogów w Lubelskiego UAM dało trzy interesujące wystąpienia (Tamara Buczyńska, Anna Kaczyńska i Barbara Mironi) i Włodzisław Krakowski Kiv' przy woi' (Petruga Cnacura i Monika Jaroszowska) wrocławskie oraz Iodziekie — po jednym). Ponieważ treść tych wystąpień, jak i wnioski z nich wypływające, nie praktyki pedagogicznej nie wynikały tylko z literatury i obserwacji naukowych, ale przede wszystkim z badań i obserwacji autorskich, są tym cenniejsze. Nie są to prace habilitacyjne, doktorskie, czy choćby zbliżone do magisterskich, mimo to jednak nasuwają sporo wniosków mogących służyć uogólnieniu. Najczęściej wnioskują one bezpośrednio do środowiska — w którym przypada byłoby, rozwijając się dzieciom i młodzieży odlegającym od normy psychofizycznej — szczególnie do rodziny.

Sympozjum ukazało więc niektóre problemy wychowawcze w rodzinach dzieci upośledzonych, w zakresie wychowawczym i pedagogicznym specjalnym. Cudowno tu gościć o upośledzeniu fizycznym, umiarkowanym, średnim, dewiacyjnie zalewanym, rozwój psychofizyczny, stosunek matek do dzieci głębiej upośledzonych itp. Druga grupa tematów wzięła się z przestępczością dzieci i młodzieży, także i tych niedorozwiniętych umysłowo. Ukazano postawy rodziców, a także wpływ niepełnej, rozlanej rodziny na wychowanie i wykształcenie się dzieci.

Znaczące rozszerzenie problematyki, dopełnienie wspomnianych wystąpień stanowiła dyskusja panelowa, która zgłownie z jej natury była członkiem kol naukowych pedagogów (również z tych uczelni, które nie przysyłały referatów) możliwość żywość wykład i niezwykle otwarte wypowiedzi. Dominowała także i tu problematyka związana z referatami naukowców i kandydatów studentów.

Syntezą tych dociekań najlepiej chyba wykazała doc. Zofia Sękowska: „Postawy wychowawcze prawidłowe albo nieprawidłowe przejawiają zarówno rodzice dzieci normalnych, jak i dzieci upośledzonych, czy niedorozwiniętych umysłowo. Do właściwych postaw wychowawczych rodziców zalicza się przede wszystkim akceptację dziecka i współuczucie z nim, stawianie mu właściwej na jego wieku swobody i uznanie jego praw. Taki stosunek do dziecka sprzyja procesowi wychowania. Natomiast nieprawidłowe postawy rodziców, które wyrażają się w unikaniu i oddalaniu dziecka, w nadmiernym dyskryminowaniu ucznia, powodują negatywne skutki wychowania”.

Lysautanci stwierdzają, że podobnie jak wobec dzieci normalnych, również wobec postawstwa z defektami psychofizycznymi zgłownie są zarówno nadmierna surowość, jak i przesadna troskliwość, wyrażająca je we wszystkich. Umiarowanie, liczenie się z kształtującą się osobowością polonka, jego innością, dano pewnością o uczuciach o-4

ryla 2000" z udziałem chóru Politechniki Szczecińskiej, baletu, zespołu cygańskiego i kilku równie jak ona popularnych gwiazd. Oba te programy słuchacze i krytycy ocenili bardzo wysoko, ubolewając jedynie nad faktem, iż zmontowano je od „wielkiego dzwonu”, a zwyciężny dzień przynosi w rozrywce znany stereotyp.

Okazuje się jednak, że istnieje w Polsce grupa, która od dawna i na co dzień robi programy mogące służyć za wzór większości naszych artystów. Myślę oczywiście o „Happy Endzie”, a przekonałem się o tym dopiero po obejrzeniu i wysłuchaniu koncertu — widowiska.

Założyciel, kompozytor, aranżer, instrumentalista i główny solista tego zespołu, Zbigniew Nowak, ma za sobą kilkumiesięczną staż estradowy. W ciągu tych lat zdążył się wiele nauczyć i zrozumieć istotę „zabawy” zwanej powszechnie muzyką młodzieżową, albo pop-music. Mit samorodnego artysty — chłopaka z gitarą, nadrabiającego braki w opanowaniu tej niełatwej sztuki spontanicznością i żywiołem już dawno przestał funkcjonować. Od wykonawcy wymaga się dziś przygotowania muzycznego, interesującego głosu, dobrej dykcji, ciekawej muzyki, niebanalnej aranżacji, obycia estradowego i umiejętności zabawienia słuchaczy. Z. Nowak wiedział o tym doskonale, toteż postawił sobie i członkom twórczo-nego właśnie zespołu duże wymagania. W programie „Happy Endu” nie ma

miejsca na sztywne odgrywanie ustalonych wcześniej partii instrumentalnych. Każdy z muzyków musi nie tylko grać, ale też śpiewać i tańczyć. Instrumentalista wychodzący na scenę daje z siebie wszystko. Program zaś opracowany jest od początku do końca w najdrobniejszych szczegółach. Trzy młode dziewczyny towarzyszące Nowakowi w partiach wokalnych przez całe półtorej godziny tańczą na scenie! Przy czym nie jest to bynajmniej sennie podrygiwanie lansowane przez niektórych naszych gwiazdorów, nie mających zielonego pojęcia o tańcu. Dziewczeta systematycznie uczą się pod fachowym okiem choreografa — młodej tancerki z Łódzkiej Operetki. Oglądając program „Happy Endu” byłem pełen podziwu dla bezsprzecznego talentu wokalistów, interesujących pomysłów i sprawności organizacyjnej całego zespołu. Sam Nowak spełnia zaś kilka ról: śpiewa, gra, tańczy i deklamuje. Koncert nie ma ani chwili przerwy, a muzycy i wokalistki potrafią dwukrotnie zmienić kostiumy. Gdy do tego dodamy migające światła sprzężone z efektami akustycznymi, taniec, autentyczny humor, nienaganną dykcją i udane przeboje otrzymamy pełny obraz grupy „Happy End”. Przygotowanie takiego występu wymaga niewątpliwie wielu prób, czasu, wytrwałości i zgrania zespołu. Niemniej jednak warto je podejmować, bo dają naprawdę zaskakujące efekty. Błędem jednak byłoby mniemać, iż „Happy



End” osiągnął już zamierzony cel i osiadł na laurach. Jego repertuar i forma artystycznej prezentacji zmieniają się często. Każdy koncert dostarcza przecież muzykom nowych doświadczeń i spostrzeżeń, które później konsekwentnie wykorzystują. Wytrwałość

i pracowitość zespołu ilustruje fakt jego szybkiego odrodzenia się. Po niedawnym pożarze autobusu, podczas którego spłonęła doszczętnie cała aparatura grupy, część muzyków opuściła ją i trzeba było wszystko zaczynać od początku...

OPTYMISTYCZNE

Zbigniew Zastawny

go sezonu. Dzięki elastycznemu potraktowaniu zasady równego podziału miejsc w finale dla poszczególnych województw weszła doń większa niż zwykle liczba grup z woj. lubelskiego. Występ ich zadecydował w ogólnym przekroju o wysokim poziomie tegorocznego finału.

Jury (pod przewodnictwem Zbigniewa Zastawnego — red.) przyznało „Złotego Koziołka” — główne trofeum przeglądu — instrumentalnej grupie „Sequentes” z Puław za konsekwentną stylistykę w podjętym gatunku muzyki (symfonic-rock) i muzycznie wykonanie. „Srebrnymi Koziołkami” podzielili się: „Speed-Zak-Band” z Lublina i „Dąb” ze Świdnika; pierwszy za wykonanie instrumentalnych pastiszów Tadeusza Krukowskiego (nagrada za opracowanie muzyczne) wspartych urozmaiconym zestawem instrumentów, natomiast drugi — za wysoki stopień zgrania w zróżnicowanym nastrojowo repertuarze z elementami jazz-rocka.

Warto tu nadmienić, że w ubiegłym roku zarówno „Sequentes” jak i „Dąb” nie weszły do finału imprezy.

Te wyrównaną pod względem poziomu czołówkę finału uzupełnia puławski „Fly” (ubiegłoroczny la-

ureat I nagrody) i „Medyk Jazz Quartet” z Lublina. Pierwsza z grup wzbogaca konsekwentnie swój jazz-rock nowoczesnym traktowaniem materiału dźwiękowego, w którym nie zabrakło muzyki fonicznej, za czym poszła zmiana i poszerzenie składu zespołu. „Medyk J. Q.” — to pracująca od niedawna grupa stricte jazzowa lubelskiego środowiska studenckiego w dużej części złożona z muzyków chełmskiego „M-4” i zarazem uczestników Warsztatów Jazzowych w Chodzieży.

Wyróżniono również „Smutek” — pogodny zespół wokально-instrumentalny z Białej Podlaskiej, który jako jeden z nielicznych podjął aranżację wokalną. Nie nawiązał tym razem do sukcesów grupy „M-4” reprezentanci woj. chełmskiego. Pod nieobecność zespołu „S-550”, „Piramida Cheopsa”, mimo pewnego postępu, nie mogła nawiązać rywalizacji z czołówką finału. To samo dotyczy zamajskiej grupy „Ethos”, która po zmianie składu nie przypomina laureata „Ethos” z finału Świdnik 75.

Nagrodę dla wyróżniającego się instrumentalisty przeglądu otrzymał perkusista „Sequentes”, Bogdan Tchórzewski. I w tej dyscyplinie czołówka jest ustalona, tworzą ją: E. Sochacki (fortepian), K.

Grymuza (perkusja), T. Stępień (flet), Z. Zieliński (perkusja), Z. Zasadny (gitara basowa), W. Borsewicz (gitara solowa), Z. Gałązka (perkusja), T. Krukowski (instrumenty klawiszowe).

Były również i inne nagrody. Pupilem publiczności okazał się w plebiscycie (z niewielką przewagą głosów nad „Sequentes”) świdnicki „Dąb”, co jest zrozumiałe z uwagi na miejsce przeglądu. Puławskiemu „Sequentes” przypadła w udziale także nagroda dla najlepszego zespołu środowiska robotniczego oraz zaproszenie na Wiosnę Muzyczną we Wrocławiu (koniec kwietnia br.) Wprowadzono także nagrodę za kulturę bycia w czasie trwania przeglądu. Otrzymała ją grupa „Ethos”. Zespoły wyróżnione nagrodami głównymi, tradycyjnie zaproszono do nagrań w studio PR w Lublinie jak również do udziału w koncercie w „Chatce Żaka”. Nie pominięto także oceny wkładu do organizacji eliminacji rejonowych. Nagrodę otrzymała dyr. MDK w Puławach, Wanda Meler.

Tegoroczny finał w Świdniku przebiegał pod znakiem dużego zainteresowania młodych słuchaczy, a ich reakcja świadczyła o muzycznym wyrobieniu. Szkoda tylko, że pejącej w swych sali kina „Lot” nie towarzyszyło równe zainteresowanie prasy (vide nieudana konferencja prasowa). Podobną uwagę można skierować pod adresem miejscowych działaczy młodzieżowych i władz miejscowych. Z tym większym uznaniem należy ocenić osobisty wkład ludzi, którzy dźwigali na barkach jej ciężar organizacyjny. (Jan Dytryś z klubu „Iskra” w Świdniku i Stanisław Grodzki z WDK w Lublinie).

Tegoroczny maraton muzyczny w Świdniku był interesujący również pod względem atmosfery, w czym duży udział miał także prezenter Andrzej Redosz z sekundującą mu w pracy Ryszarda Todys.

Końcowy bilans daje dużą satysfakcję animatorom przeglądu. Dorobku tego nie wolno roztrwonić.

nego są najlepszymi środkami uzyskania pozytywnego wpływu. Np. odrzucenie młodocianego przestępcy przez rodzinę utrudnia jego powrót na właściwą drogę, często wręcz uniemożliwia reedukację. Podobne są skutki nieprzygotowania rodziców do pokierowania życiem dzieci upośledzonych umysłowo. Wielu spośród nich nie chce w ogóle przyjąć do wiadomości, że ich synowie czy córki coś brakuje i zakładają dla nich nieosiągalne cele zawodowe. Inni stają się bierni, nie wierzą, że sytuacja, w której się znaleźli wcale nie jest beznadziejna. Jeszcze inni demonstrują swoją nienawiść wobec bezbronnych i pogłębiają upośledzenie. Sukces osiągnął tylko ci rodzice i wychowawcy, którzy z odkrzyknięciem wyciekała możliwość szybko właściwie praktyczne wnioski. Mimo pozorów niewiele różni się postawy rodziców, gdy chodzi o młodzież, która wkroczyła na drogę przestępstwa, o czym była już powyżej mowa. Najmniej cierpliwość, według badań młodych pedagogów, wykazują ojcowie, najwyższym autorytetem pozostają najczęściej matki. Pedagogizacja rodziców jest w sumie nieodzowna.

Nie sposób omówić wszystkiego, co działo się na puławsko-lubelskim sympozjum młodych pedagogów, jednak już z powyższych notatek wynika, że młodzież pedagogicznych uczelni i wydziałów wiąże swoje badania z praktyką i to na tak trudnych odcinkach. Sympozjum zorganizowane przez Kolo Naukowe Pedagogów UMCS należy zaliczyć do udanych, a jego problematyka zasługuje na kontynuację także w latach następnych.

Jas.

1) Tyflopädagogika — zajmuje się wychowaniem i nauczaniem dzieci niewidomych i niedowidzących.

2) Surdopädagogika — to samo w odniesieniu do głuchych.

DEBIUT

Jan Klimecki

Antypoezja oznajmień

1. Zwykły letni dzień

Świt zapukał w okno blaskiem czerwonołosym
Przebudzenie napotykało na opór blogostanu
nieświadomości.

Walka z sennością była krótka, wyrażona
ziewaniem i mrużeniem oczu.

Zwyciężyła pogoda dnia, pobudzając świadomość
do kręcenia kołowrotem
myśli i czynności

Śniadanie miesza jasny uśmiech z zapachem
mleka i pieczywa.

Obiad ociera krople potu z czoła wystawionego
na tchnienia upału.

Ostatni papieros w gestniejącym mroku tli się
niepokojem przemijania.

2. Tęsknota

Ręka wyciągnięta (w przestrzeń) maca pustkę.
Dotyk twoich palców trwa na mej dłoni
wspomnieniem.

Wspomnienie budzi wyobraźnię i rodzi myśli
czule i tkliwe.

Skąpano w czułościach wyobraźni ulatujesz
ponad obłoki

przywracając mnie rzeczywistości.

Spotkania nasze wypełniają pustkę.
Słowa omijają istotę naszych pragnień.

3. Bezradność

Szli obok siebie w milczeniu.

Ręce skryli w kieszeniach.

Dokuczało im zimno rozżalonych serc.

Brakowało słów, by cokolwiek jeszcze naprawić.

Zaden już gest nie mógł pomóc.

Zaciskając zęby pozwolił dziewczynie odejść.
Bez pożegnania weszła do bramy.

Został sam.

Przemoczonymi butami uparcie deptał
tratuarowe jeziora.

Skreślił w boczną uliczkę do małego baru.

Alkohol z trudem się przelewał przez
ściśnięte gardło.

KRytykiem jest podobno ten, komu nie udało się zostać poetą lub prozaikiem. Stara się więc pokazać autorom jak on napisałby ich dzieła, gdyby oczywiście popadł. Można by zatem mówić, że krytyka jest niejako przejawem kompleksów osoby zajmującej się krytyką wobec twórcy i jego dzieła. Egzystuje ona na przekonaniu, iż nie tylko nie może powstać nie idealnego, ale nawet przekraczającego jej aktualne możliwości opisowe i interpretacyjną. O błę-

totalnego negowania innych prądów. Nie sprzyja obiektywizmowi i rzeczowości krytyki. Już poeci Orientacji wprowadzili zasadę, w myśl której najlepiej jest pisać recenzję koleźce, słusznie licząc na jego wdzięczność i pamięć przy okazji wydania własnej książki.

Mówiąc o kameralizacji życia literackiego chciałbym przypomnieć dyskusję przeprowadzoną na łamach „Nowych Książek” w nr 15 z 1975 roku („Wokół młodej literatury”). To właśnie „opór kon-

Chwila u Czechowicza

Dokończenie ze str. 1

przemiał, by dać miejsce pudłom współczesnej architektury, albo (bezkolizyjnym) skrzyżowaniom. A tych kijanek tych praczek u potoczka

— dziś, kiedy prawie każda gospodyni na wdm ma pralkę?

Nie, proszę państwa, zabieg wcale nie jest swawolny, chociaż wystawiam się na zarzut, że w podobny sposób odmówiłbym aktualności Homerowi na rzecz Przymanowskiego, bo tam się grzmocą mieczami i dzidami, a tu nowoczesna pancerna broń. Rzecz w tym, że pewne związane ze stanem świadomości postawy dzielą los eksponatów muzealnych, które się odwiedzają, ale którymi się nie żyje. Dajmy na to, że Czechowicza nie było, natomiast jakimś cudem wpływa do redakcji „Zal”, „modlitwa żałobna”, „piosenka czeski domek”. Co robi redaktor? Wrzuca do kosza.

Nie chodzi o różnicę realiów. Nie o to, że przystanek dziś nie jest oznaczony słupem z kulą na wierzchu, że obowiązują inne zasady planowania przestrzennego w mieście, że inwazyjne zmechanizowane sprzęty domowego objęła również wiek. Chodzi o to, że zmieniło się obrazowanie, zmienił się sposób reagowania na rzeczywistość. W związku z czym — kształt wiersza.

Kiedy młody poeta, autor wielu wierszy współczesnych (nie precyzujemy dokładniej, i tak wbrew krytycznym meandrom nie ma żadnej różnicy między lingwistami, strukturalistami, „Orientacjami”, grupami „Teraz” itp.) przychodzi na wieczór Czechowicza, widzę w tym sytuację sztuczną. Nie odwróci się bokiem, bo to poezja w hierarchii ustalonej, ponadto nie ma powodu do stanowiska krytycznego — tak Czechowicz nie skutkuje na terenie współczesnym — ale też nie może się zdobyć na rezonans. A że nie może, ślad tego w tekstach. Jeśli w recenzji przypina się komuś czechowiczowski parantele, wyraża się w tym jedynie konwencja językowa krytyki, która musi dopatrzeć się jakichś „analogii”, posłużyć się jakąś „siatką” dla „umiejscowienia” zjawiska. Zresztą i tych przyszywań niewiele. Muzyczny ton, nastroj, wyrazistość klucza stylistycznego — gdzie to we współczesnej poezji? Tam resentyment, tu konstatacja. Niby podobne, bo jedno i drugie jest postacią niezadowoloną ze świata, ale co ma wspólnego refleksyjne poczucie przegranej ze zgrzytaniem zębami?

Proszę nie odczytać tych kilku słów jako z kolei niechętny zwrot przeciw współczesnemu wierszowi. Taki jaki jest, jest usprawiedliwiony. Tym, co go odciska. Mówi gdzieś Mickiewicz: „Nie zaznał szczęścia w domu, bo go nie było w ojczyźnie”. Tak samo nie ma poezji w wierszu, bo jej nie ma w rzeczywistości. To wszystko, co się pisze w formie graficznej poezji przypominająca bywa nawet ciekawe, nie jest pozbawione możliwości zainteresowania, tylko jedno; to nie wiersz, to zamiar wiersza. Wstępny zapisek, brulion. Pośpieszna notatka uczyniona dla utrwalenia pewnego stanu świadomości w obawie, by nie uleciał. Sęk w tym, że w całości czytelna tylko dla autora. Mówi się „język poety”. Ale jeśli język poety jest językiem tylko poety, jeśli każde sformułowanie wymaga objaśniającego przypisku i dopiero po nim zyska znaczenie intersubiektywne, cóż mówić o celu, sensie, działaniu poetyckim? Zaproponować chyba: młodzi poeci, piszcie wiersze z didaskaliai. Nie wybrzydzą w współczesną poetyckość. Mam pretensję do współczesnej rzeczywistości. Tej bezkutecznie biegnącej, nieskorej do zastanowień, jeśli widzącej jakieś ulepszenie w stosunku do przeszłości, to owozym pędem skłonnej do potępienia przeszłości całej. Mówi Gałczyński w jednej ze swoich satyr: dlaczego o nieprzystępność oskarżamy tylko poezję, skoro nieprzystępna jest również cena pomarańczę? To nie tylko jedna — wszystkie zresztą świetne — z dezynwoltur mistrza Karakuliambro. „Cena pomarańczę” rzeczywiście rzutuje na sytuację w poezji.

Z ziemi egipskiej sprzecznych opinii i zagmatwanych pojęć zdaje się wyprowadzać jedno stwierdzenie: poezji nie ma. Warto zdobyć się na tę odwagę. Skończył się symbolizm, skończył nadrealizm, ekspresjonizm, futurizm. To może dokonało się coś jakościowo pełniejszego i zamiast o końcu jakiegos zizmu należy mówić o końcu poezji w ogóle? Nasza epoka jest sprawczynią wysylki do lamusa wielu dziedzin ludzkiego działania. Więc może na miejscu poezji powstało coś innego? Wyższego? Bo nie wyobrażam sobie, by „kornik płaszczki” zmierzach wydlubiał stomatologiczny, „rozesłane hybrydy diopry proponowały wirem”, „dwugarbny lew mezallians baobabu sączył” (cytaty oczywiście fikcyjne, nie chcę nikogo dotknąć, jednak w duchu dzisiejszego metaforyzowania) i to wszystko zmieściło się w starym worku. Może pomyśleć o jakiejś poezjotyce? Poetylepsji? Tyle powstaje nowych nazw...

Wyszedłem z Muzeum jak zwykle w mrok jednego z miejsc, które są najbardziej Lublinem. I gdyby nie zaproszenie, gdyby nie afisz, wcale bym się nie zorientował, że to już 50 lat. Pół wieku od „Kamienia”. Czechowicz, Czechowicz, czy on naprawdę istniał?

Zygmunt Mikulski

KRYTYCZNIE O KRYTYCE

Stanisław Żurek

dzie tego przeświadczenia przekonuje przykład Norwida, czy choćby z najmłodszych Miłczewskiego-Bruno. Znany jest fakt negowania wartości jego twórczości (wręcz jej dyskwalifikowania) przez uznanych i doświadczonych krytyków i trudności z wydaniem pierwszego tomiku. A wszak gdzie mu tam do Norwida!

Psychologia rozwojowa podaje, iż najbardziej krytyczne postawy przyjmuje młodzież. Zadziwiająco aktualne wciąż są stwierdzenia zawarte w artykule Aleksandra Świętochowskiego „My i Wy” opublikowanym w „Przeglądzie Tygodniowym” w 1871 r. Z tym, że faktycznie „energia skandalu robi coraz śmielsze wyłomy w literaturze”. Krytyka zatracza znamiona krytyki, a nabiera cech totalnego negowania. Kontynuował to Przyboś swoją napaścią na Kasprowicza, podobne ataki wobec siebie prowadziły wszelkie inne „pokolenia” i „grupowania” włącznie z Awangardą, Orientacją i „Nową Falą”. Na podobnej zasadzie toczą się obecnie dyskusje i polemiki krytyczne. Zdumiewająco konsekwentnie też „młodzi gniewni” po wywalczeniu sobie jakiejś pozycji przyjmują automatycznie postawy zachowawcze i przechodzą do opozycji w stosunku do „młodszych gniewnych”, a ich ideologia staje się nagle „grzeczna”.

W dyskusji na temat naszej krytyki literackiej toczonyj na łamach „Życia Literackiego” (styczeń—luty 1977) głos zabierali m.in.: Jacek Kajtoch, Włodzimierz Maciąg, Andrzej K. Waśkiewicz, Bogusław S. Kunda i Krzysztof Nowicki, który był inicjatorem dyskusji. Nowicki pisząc o krytykach wyraził pogląd, iż ich „koszty własne są nieporównywalnie mniejsze od tych, które pod postacią przezytia czy doświadczenia wniósł do dzieła pisarz”. Pozornie więc łatwo być krytykiem. Waśkiewicz, zastanawiając się nad przyczynami dlaczego tak nie jest, dochodzi do konkluzji, że składa się na to zarówno brak miejsca w prasie dla krytyki literackiej, niemożność ujęć całościowych literatury oraz konwencja i kameralizacja życia literackiego.

Nie można jednak twierdzić, że posiadanie określonego programu działania (Sandauer, Wyka, Burek) nie odnosi się do krytyki najmłodszej. Wszak można tu przytoczyć i Zagajewskiego i Barańczaka i Leszina razem z Waśkiewiczem, a także kilku innych. To właśnie ten określony program działania z czasem kostnieje i prowadzi do posługiwania się szablonem jako metodą krytyki. To właśnie doprowadza do elitarności grup i pism (przykład „Nowej Fali” i „Nowego Wyrazu”), do

serwatyzmu estetycznego i konwencjonalnych gustów” krytyki stanowił, zdaniem Henryka Berezę, największy problem dla młodej literatury. Andrzej Męcel stwierdził wręcz, że chodzi tutaj o całkowitą konwencjonalizację życia literackiego we wszystkich jego aspektach.

W takiej właśnie sytuacji mogą wychodzić w naszym kraju tomiki poetyckie i prozatorskie, które są przejawem radosnego optymizmu na rynku wydawniczym. Nie mają one nic wspólnego ze zjawiskiem zwanym twórczością, jest to powielanie funkcjonujących już często od dość dawna wzorów. Nie przeszkadza to pisać potem nawet znanym krytykom pochlebnych recenzji, w których posądzają autora o wiele szlachetnych i mądrych rzeczy, jakie mu najczęściej i w podświadomości nie kołatały. I przy takich układach możliwe jest, iż naprawdę znacząca książka długo nie może się ukazać, gdyż przerasta kompetencje krytyków. Nie zdarzyło się jednak, by któryś do tego się przyznał.

Krytyka literacka powinna być w stosunku do siebie nie mniej twórcza i odkrywczą, niż są dzieła literackie w stosunku do siebie. Tymczasem posiada ona dziwną tendencję posługiwania się szablonem jako metodą badawczą, umiejscawiania dzieł nowych i nowatorskich w istniejących już schematach. Coraz częściej powstają paradoksy, iż pisze się wiersze do istniejących, stworzonych wcześniej teorii. Nie po to są teorie poetyckie, aby do nich wiersze pisać, ale także nie po to są wiersze, aby do nich pisać teorie poetyckie, o czym też krytycy powinni pamiętać. Symptomatyczne są tożsame często heroiczne walki o własne koncepcje twórcze, które wymykają się kryteriom schematycznego traktowania dzieł twórczych i mających być twórczymi, bo to jest warunkiem ich powstawania. Co istotniejsze — nie są to dzieła rewolucyjne, choć nawet nie rewelacyjne, są po prostu twórcze. Ich więc normalny stosunek do pojęcia twórczości literackiej uznawany jest za wypaczony.

I chyba w tej krytyce krytyki literackiej najpożyteczniejszy jest postulat Kajtocha, aby przedyskutować takie problemy jak: kryteria wydawnicze, politykę redakcyjną czasopism społeczno-kulturalnych, obowiązującą hierarchię wartości literackich. W przeciwnym razie słuszne mogą okazać się obawy Andrzeja K. Waśkiewicza (notabene jednego z najbardziej obiektywnych przedstawicieli krytyki), iż krytyka stanie się co najwyżej przedmiotem pozornych polemik.

Za Bugiem

Konferencja dialektologiczna w Kijowie

OD ROKU 1941 zjeżdżają się co jakiś czas badacze gwar ukraińskich na konferencje (narady) naukowe. Pod koniec marca br. odbył się w Instytucie Językoznawstwa Akademii Nauk USSR w Kijowie czternasty zjazd, trwający trzy dni (29—31 III).

W tematyce obrad konferencji były zagadnienia fonetyki (również: eksperymentalnej), akcentologii, morfologii i słownictwa gwar ukraińskich, a także problem kontaktów międzylęktalnych na pograniczach językowych Ukrainy z Rosją, Białorusią, Polską, Słowacją, Węgrami, Mołdawią.

Na posiedzeniach plenarnych i sekcyjnych wygłoszone w sumie 60 referatów i komunikatów naukowych. Referentami byli przede wszystkim dialektolodzy z Instytutu Językoznawstwa AN USSR w Kijowie, z Instytutu Nauk Społecznych AN USSR we Lwowie, pracownicy naukowi z ukraińskich uniwersytetów i wyższych szkół pedagogicznych (pedinstytutów) Kijowa, Lwowa, Użhorodu, Czerniowców, Odessy, Charkowa, Dniepropietrowska, Iwano-Frankiwka, Drohobycza, Zytomierza, Zaporozja, Kirowogrodu, Woroszyłowgradu, Chersonu, Równego, Kamieńca Podolskiego i Doniecka. Wyniki swoich badań gwar ukraińskich oraz wzajemnych stosunków międzylęktalnych przedstawili również językoznawcy z Rosyjskiej FSRR z Moskwy, Kurska, Wołgogradu, Penzy, Krasnodaru, Cytły (Syberia Wsch.) i Ussuryjska (Daleki Wschód), z Mołdawii (Kiszyniów), z Białorusi (Mińsk) i z Polski (Lublin).

Z referatów i dyskusji wynikało, że w badaniach nad strukturą gwar ukraińskich można mówić o poważnych

już osiągnięciach. Idzie tu głównie o zebranie i zinterpretowanie ogromnej ilości materiału słownikowego. Przygotowano do druku trzy tomy „Ukraińskiego Atlasu Gwarowego”, który czeka na swoje wydanie drukiem. Ukazało się szereg cennych monografii i zbiorów dialektologicznych, które w dużej mierze wzbogacają naukę sławistyczną w ogóle. Pojawiają się coraz częściej regionalne słowniki gwarowe, np. wydany ostatnio „Słownik gwar polskich” P. S. Łysenki. Wydana została obszerna chrestomatia tekstów gwarowych pod redakcją T. W. Nazarowej: Howory ukraińskojj mowy. Zbiórny tekstów, Kijów 1977. Przygotowuje się prace nad zaplanowanym Ogólnoukraińskim Leksykalnym Atlasem Gwarowym, o którego zasadach „ówił na zjeździe prof. J. O. Dzendzeliwski z Użhorodu, autor Atlasu Gwarowego Zakarpacia. Częstokwe słowniki gwarowe z różnych regionów Ukrainy poprzedzą wydanie Ogólnoukraińskiego Słownika Gwarowego.

Ważny problem to badania gwar ukraińskich na stykach z gwarami rosyjskimi, białoruskimi, mołdawskimi, polskimi, węgierskimi, słowackimi i w tej dziedzinie są już pewne osiągnięcia naukowo-badawcze, jak wynikało z niektórych wystąpień na zjeździe. Podkreślano tu również wkład językoznawców polskich do badań gwar ukraińskich. Potrzeba jeszcze ściślejszej współpracy naukowej jest na czasie, obopólne korzyści są bezsporne.

Na zjazd dialektologów w Kijowie wydano księgę z tematami referatów: „XIV Republikańska dialektologiczna narada. Tezy dopowidej”, Kijów 1977. Pozycja ta siana przez się stanowi cenną publikację, notuje bowiem w skrócie wszystkie problemy poruszone na wspomnianej konferencji naukowej, co może być również ważne dla współczesnych badań gwarowych w Polsce.

Marian Karczmarczyk

Drobnym śrutem

Długo do tego stopnia tępy, że nie wiedział, iż kalectwo innych

Humanitarny postępek: bić zwierzę. W człowieku.

Niektórzy tylko dlatego chcą mieć przyjaciół, by się nimi zastonić przed wrogiem.

Nigdy nie zajął jasnego stanowiska. Teraz twierdzi, że był to obiektywizm.

Tańczył tak, jak mu zagrali. Teraz chwali się, że stworzył nowy taniec.

I nasze błędy mają wartość. Zazwyczaj dla tych, którzy z nich żyją.

Kto stąpa po samych różach może posunąć się za daleko.

Pochlebstwo — mówić komuś, że obniżył loty, gdy wcale nie wzniósł się.

Niektórzy szukając wyjścia wchodzą czasem tam, gdzie wejście wzbronione.

Gdy otwierają się przed tobą perspektywy, nie ciesz się, a sprawdź, czy... nie na tamten świat.

Nawet, gdy wzięli go pod nogi nie zalał się: powoli usuwa im grunt spod nóg.

Walczył z sobą samym. Teraz w życiorysie pisze, że był w ruchu oporu.

Pilnie poszukuje wrogów. Z przyjaciół wycisnął już wszystko.

Była źródłem jego natchnienia. Ale dopiero później zauważył, że to źródło bije.

MINUTA MYŚLENI

Mały spacer lubelski

WIELKANOC. Co robić podczas Wielkanocy? Przykłady historyczno-literackie mówią, że przynajmniej tak przynajmniej podpowiada Jan Sebastian Bach w znanym wierszu Konstantego Ildefonsa (również dwójga imion) Gałczyńskiego.

Cnodzi więc po tej przereklamowanej wiosnie, która miała być objawieniem dla rolnictwa, a stała się jedną z większych plag, wiedziona sentymentem zagładą staremu Lublinowi w zęby, porównując ze stawiam, wspomina, i co stwierdzam? Ze znowu dwie kamienie poszły pod miotek. Jeśli chodzi o mnie, nie mogę o tym myśleć spokojnie. Idzie się ulicą Mariana Buczka od katedry w dół i na styku z Jarosława Dąbrowskiego otwiera się gwałtowna pustka. Kawał mięsa wyrwany organizmowi miasta. A miejsce było dla Lublina jedno z najniebezpieczniejszych. Właśnie przez tę niewygodę komunikacyjną, która się w końcu stała wyrokiem śmierci wydanym na kawałek architektury. Gwałtem, rozumieć, że należy do skrzyżowania jakos odkolejzić, ale kto z panów (Wojciechowski? Kurzątkowski? Zwolakiewicz?) doda mi miejsca w patreniu na ten fragment miejskiej panoramy pozbawiony już budynku z szacowną metryką roku 1287? Mnie, osobliwie w tym miejscu Lublina zabraknie.

Prawidło czasu. Tak, ale jeśli nie można na to ducium nie porazić, a tylko zaspęć odczuć nawet w święto, to przynajmniej to zaspęć niech będzie faktem. Niech nie odczodzi w nicosć część miasta bez westchnienia, bez zalobnej potnuty. A jeśli w tym nastroju zostanie sam — na miodych nie liczę — rozkolportuje wszędzie, że nie masz już w Lublinie lokainych patriotów.

Cudzoź również po LSM-ie i nie mogą opędzić się rozbawieniu. Tu i tam jakas nieforemna gipsowa bryla przypominająca porcję lodu z automatu. Coś nasadzonego i nazwijanego. Wreszcie w pamięci zaswitato. No tak, było w prasie: Akcja mająca na celu teren LSM przyozdobić wytworami sztuk plastycznych. Tylko przypuszczałem, że zadanie zostanie wykonane zgodnie ze słowniowym i używanym znaczeniem czasownika „przyozdobić”, tymczasem zostało potraktowane w sensie „eksperymentalnym”. To znaczy w panoramie dzielnic nawiązano tu i tam nie bardzo wiadomo co. Nie jestem specjalistą, wracam nie na swój teren, ale nawet jako laik jedno mam do zauważenia ponad wątpliwosć: jeżeli współczesna sztuka ma kłopot ze znalezieniem współczesnych form, dlaczego nie uzna tego za wstydliwą sprawę rodzinną, ale wynosi to na widok publiczny? Pardon, byłbym skrzywdził LSM-owskich rzeczbiarzy: zaprezentowali nie tylko gipsowe lody, ale jeszcze wypolerowali kawałki pni, czym niebawem wzbogacili repertuar srogoek artystycznych. Tylko nie wiem dlaczego potrzebny element tamtego pejzażu ma być jakaś martwa buczyna, czy grabina, skoro jest już żywa wierzbina, czeremcha i akacja. Po co pchać martwe między żywe, zamiast napalić tym w piecu, by wywołać ciepło znacznie miłsze od ciepła z kaloryferów. Była kiedyś ogromna akcja estetyzacji miejsca zamieszkania. Drzę na myśl o akcjach udogodnień w komunikacji miejskiej. Wtedy będą jeździł na dachu.

I dlaczego ten przekrzywany LSM ma być terenem wszystkich eksperymentów? Utało się, że to, beniaminek wśród osiedli mieszkaniowych naszego miasta, więc cokolwiek zawiąta z nowalijek, rzuca się w tę

dzielnicę, z dumą wypychając oryginalność przed oczy wycieczek szwedzkich, portugalskich, guajakich. Czy naprawdę LSM-owi brakuje tylko rzecz? Czy nie brakuje czasem niepsujących się kłamek, zamyszkających się okien, niepopękanych scian? A choćby dobrze położonego asialtu, który w dobre estetyzacji roziano z elegancją strugi biota?

Całe jednak szczęście, że jest coś, co w te ponure meteorologicznie święta może wprowadzić promyczek radości. Mówiu się kiedyś o powołaniu społecznej organizacji szachowej i kto wie, czy obecnie nie wybita godzina czynu. Okręgowy Związek szachowy zaradza ku temu nieukrywaną ocnosć. Jeśli coś takiego powstanie, jakas część mikrozasługi przypadnie i tej ruoryczce, w której pogodna inicjatywa pukala do uwagi odnosnych władz. No, a teraz, po turnieju oldboy'ów? W obliczu Sekcja Polskiego Związku Szachowego?

Tak się złożyło, że właśnie w środowisku lubelskim dzemie sporo tej przeszłości szachowej, którą się nie bez sentymentu wspomina. Są jeszcze amatorzy i zawodnicy, którzy pamiętają czasy, kiedy z powodzeniem po Lublinie i Lubelszczyźnie krzątała się sekcja „Heimann” z jej kierownikiem Tadeuszem Tomczykiem, kiedy mistrzostwo miasta kilka lat z rzędu zdobywał Mieczysław Zinecki, kiedy mistrzostwo Polski nieoczekiwanie zdobył młody Józef Gromeż. Jeżeli się znajdzie okazja, by gro- no osób przy szachownicy i pół czarnej mogło się zbierać i wspominać, jeśli ją okazją będzie Towarzystwo Miłośników Gry Szachowej w Lublinie, czegoż jeszcze życzyć sobie może dusza zapalonego szachisty? Proszę, nawet telewizja w stronę szachow obrocila swoje zainteresowanie. Arcymistrz Schmidt rozgrywa partie konsultacyjne, a w niedziele obejrzelimy Pawlaka w filmie „Mistrz zawsze traci”.

I tak mi zesły święta. Od czego są? „Zeby mruzczeć, żeby nuć, żeby chodzić”. Czyli cały program zawarty w wierszu Gałczyńskiego w miarę mych sił i możności zrealizowałem. Nie będąc Bachem.

Ijon

Jerzy Lipiec



BARAN 21 III — 13 IV

Sprawy znów zaczynają się poważnie komplikować. Ostrożnie, zwykłe lekceważyć, trudno więc ci cokolwiek radzić. Nie postępuj jednak pochopnie, raczej odczeka, bo w przyszłości możesz tak żalować, jak nigdy dotąd. W tym wypadku cierpliwość jest szczególnie wskazana.

BYK 19 IV — 20 V

Wpadłeś raczej poskudnie, ale tak zwykle bywa, kiedy starasz się przedrzeć. Pech przesładowuje cię zresztą od dawna, wszystko wychodzi w praktyce odwrotnie niż byś tego oczekiwał. Ale, ale! Zastanawiasz się możliwość spędzenia szampańskiego wieczoru. Twoja druga połowa ma zamiar na pewien czas wyjechać. Uważaj jednak, abyś szpetnie nie podpadł; sąsiedzi już patrzą na ciebie podejrzliwie.

BLIZNIĘTA 21 V — 20 VI

Może to jest spełnienie twoich marzeń, uważaj jednak, aby nie rozczarować się zbyt szybko. Nie należysz do ludzi, którzy łatwo idą na ustępstwa, a niestety w tym celu są niekiedy potrzebne kompromisy. Najbliższa wycieczka zapowiada się bombowo, ale przy o-

kazji mogą nastąpić komplikacje. Nie angażuj się tym razem. Naprawdę nie musisz dawać z siebie wszystkiego.

RAK 21 VI — 22 VII

Nareszcie zaczynasz trochę myśleć. Trzeba było wprawdzie przedtem nie popełniać błędów za błędem, ale lepiej zamrzeć późno niż wcale. Myślenie masz zresztą o czym, bo tak pokomplikowałeś życie i sobie i innym, że teraz trudno z tego wszystkiego wybrnąć.

LEW 23 VII — 22 VIII

Co ty chcesz przez to piele osłaniać? W gruncie rzeczy sprawiasz wrażenie jakbyś chciał coś w sobie zagluszyć. A może po prostu mierzysz zbyt wysoko? Potem, gdy ci się coś nie udaje, szukasz winy u wszystkich, tylko nie u samego siebie. Daleko tak nie

ujedziesz. Jeśli zmienisz pracę, ale nie zmienisz postępowania, będzie ci jeszcze gorzej.

PANNA 23 VIII — 22 IX

I tym razem niezbyt ci się powiodło. Gubi cię upór, stale wydaje ci się, że właśnie ty jesteś najmądrzejszy. Kiedy jednak przyjdzie ci do czegoś — klapa, denerwujesz się i nie umiesz wykonać najprostszej pracy. Znajomość tabliczek mnożenia nie powinna być końcem edukacji.

WAGA 23 IX — 22 X

Okazuje się, że i gorsza lekcja niewiele cię nauczyła. Stąpasz wreszcie po ziemi, a nie huśtaj się w obłokach. Obłoki to nie hamak. Pożyczkę możesz uważać za straconą, a jeśli zdarzyło ci się komukolwiek zrywać, będziesz mieć z tej racji poważne kłopoty. Ostrożnie z górą powinieneś wszystko przewidzieć.

SKORPION 23 X — 22 XI

Mowa jest srebrem, a mleczynie złotem. Dziwne, że wolisz mniej szlachetny kruszec, bo znając cię raczej z innej strony. W drodze — radosna wiadomość, uważaj jednak, by nie dostać fałszywej głowy od sukcesu. Ostatnio tych sukcesów zbyt wiele nie miałeś.

STRZELEC 23 XI — 21 XII

Fruwasz z kwiatka na kwiatek, już ci się nawet imiona plączą. Można i tak, ale czy nie odczuwasz znużenia z przesyła? I skąd u ciebie tyle fantazji? Przyjaciele zaczęli się od ciebie odwracać, zbyt wiele naoblicywałeś. A ta ostatnia podróż też nie wyszła ci na zdrowie. Jeśli jeszcze dopisuje ci humor, to rzeczywiście jesteś unikatem.

KOZIOROŻEC 22 XII — 20 I

Osoba spod znaku Barana zaczęła ci zbyt nadskakiwać. Przeanalizuj: co się za tym kryje? Dobrze zbadaj, czy miód nie jest z dziegiem, Twój protektor zbyt często bywa ostatnio zajęty, wygłada to na pretekst. Licz bardziej na własne siły, bo znaki na niebie wskazują, że atmosfera wokół ciebie zaczyna się zagęszczać.

WODNIK 21 I — 18 II

Jak zwykle postawiłeś na slego konia. Spóźniony zaś w tej sytuacji już ci wiele nie pomoże. W gruncie rzeczy potrzebny ci teraz solidny relaks. Osoby spod znaku Wodnika, które w tym roku zdają maturę, powinny szczególnie pilnie wziąć się za matematykę. Miłość może poczekać.

KYBY 19 II — 20 III

Jeśli osoba spod znaku Ryb ma tytuł magistra, nie powinna tym się tak afiszować, bo magistrów dzisiaj więcej niż dawniej maturzystów. Ludzie nie lubią, gdy ktoś próbuje się zbyt wywyższać. A nie ma chyba niczego gorszego niż śmiech. Sprawy uczuciowe zaczynają się natomist krystalizować, nie wygnaj jednak zbyt wiele od życia. Chyba, że zmienisz swoje postępowanie.

Stella